

ODRODZENIE

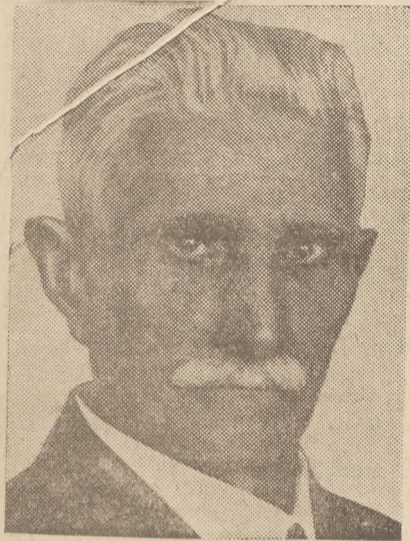
TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 3 listopada 1946 r.

Nr 44 (101)

WALCZYLI O SPRAWĘ LUDU



IGNACY DASZYŃSKI

urodził się 20. X. 1866 r., zmarł 31. X. 1936 r. Jeden z twórców socjalizmu polskiego, polityk i publicysta, znakomity mówca. Poseł do parlamentu austriackiego i sejmu polskiego. W 1918 r. stanął w Lublinie na czele Rządu Ludowego. Ostatni demokratyczny marszałek sejmu. Walczył z rodzimą odmianą faszyzmu — sanacją.



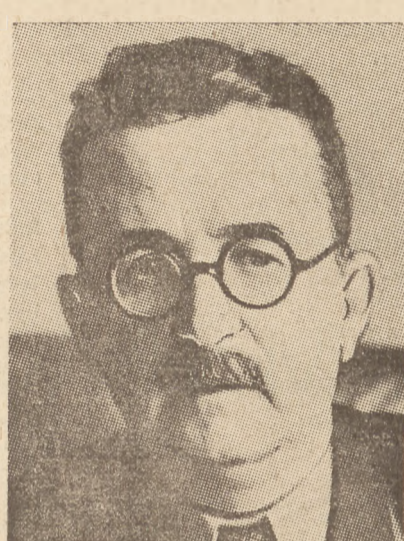
HERMAN LIEBERMAN

urodził się 3. I. 1870 r., zmarł 21. X. 1941 r. w Londynie na emigracji. Jeden z czołowych przywódców Polskiej Partii Socjalistycznej. Przez wiele lat poseł do sejmu z ramienia PPS. Nieustraszonego trybuna ludu. Więzień brzeski. Zwolennik jednolitego frontu robotniczego.



NORBERT BARLICKI

urodził się 6. VI. 1880 r., zmarł w obozie oświęcimskim 27. IX. 1941 r. Jeden z głównych przywódców socjalistów polskich. Poseł na sejm. Redaktor naczelny „Dziennika Popularnego”. Był gorącym zwolennikiem jednolitego frontu robotniczego i zbliżenia polsko-radzieckiego. Podczas okupacji organizator walki z Niemcami.



MIECZYŚLAW NIEDZIAŁKOWSKI

urodził się 19. IX. 1893 r., rozstrzelany przez Niemców w czerwcu 1940 r. Wieloletni redaktor naczelny „Robotnika” i wybitny publicysta. Jeden z czołowych przywódców Polskiej Partii Socjalistycznej. Szermierz walki o wolność i demokrację. Organizator obrony Warszawy we wrześniu 1939 r. i walki konspiracyjnej pod okupacją niemiecką.



STANISŁAW DUBOIS

urodził się w 1901 r., rozstrzelany przez Niemców w obozie oświęcimskim 21 sierpnia 1942 r. Przywódca młodzieży socjalistycznej, przewodniczący Organizacji Młodzieży TUR. Poseł na sejm i więzień brzeski. Wyznawca idei jednolitego frontu robotniczego. Podczas okupacji organizator walki z Niemcami (grupa „Barykady Wolności”).

Rewolucja Październikowa a niepodległość Polski

Przedstawiając dzieje sprawy polskiej w czasie pierwszej wojny światowej, nasza publicystyka i nauka historyczna zestawiała skrupulatnie wszystkie akty: manifest listopadowy dwóch cesarzy, oświadczenie do senatu amerykańskiego i jego słynne punkty, uchwały Rady Ambasadorów, deklaracje francuskie i włoskie. Jedno tylko przemilczano zupełnie, albo wspomniano od niechcienia, najbardziej lakonicznie: stanowisko rewolucyjnej Rosji wobec sprawy polskiej.

Nic więc dziwnego, że szerokie warstwy źle informowane, wychowane nadto na historii stosunków polsko-rosyjskich w dobie caratu i karmione propagandą przeciwrządziecką do dziś nie mają wyobrażenia o prawdziwym stosunku przywódców rosyjskiej rewolucji i Rosji Październikowej do sprawy polskiej.

Nie wiedzą też, że postępową zasadą samookreślenia narodów nie pochodzi od Wilsona, który wysunął ją w roku 1917. O cztery lata wcześniej, w 1913 roku ogłoszona została w czasopiśmie „Proswieszczenie” praca Józefa Stalina „Marksizm a kwestia narodowa”, napisana w 1912/13 roku, w której czytamy:

„Prawo samookreślenia oznacza, że naród może urządzić swoje życie według swego życzenia. Ma prawo urządzić swoje życie na zasadach autonomii. Ma prawo wstąpić w stosunki federacyjne z innymi narodami. Ma prawo całkowicie oderwać się. Naród jest suwerenny i wszystkie narody są równoprawne”.

Praca ta należy do klasycznej literatury marksistowskiej i stanowi teoretyczną podstawę programu marksistowskiego w kwestii narodowej. W takim sensie przyjęta była od razu przez Lenina w grudniu 1913 roku („O programie narodowym S. D. P. R. R.”).

„Prawo do samookreślenia — stwierdzał Stalin — oznacza: tylko sam naród ma prawo określić swój los, nikt nie ma prawa przemocą wtrącać się do życia narodu, niszczyć jego szkół i innych instytucji, burzyć jego zwyczajów i obyczajów,

kępować jego języka, obcinać praw”.

I: — „Dlatego socjaldemokracja wszystkich krajów proklamuje prawo narodów do samookreślenia”.

W czasie wojny Lenin nieraz pisał o kwestii narodowościowej, niejedną też raz poruszał sprawę polską. W roku 1916 artykuł jego „O pokoju bez aneksji i niepodległości Polski, jako hasłach dnia w Rosji” zawiera konkluzję: „Lud rosyjski nie chce stać się znowu ciemną Polską”. W tymże roku, w kwietniu, („Rewolucja socjalistyczna a prawo narodów do samookreślenia”) — uczył, „że socjaliści rosyjscy, którzy nie żądają oderwania się Finlandii, Polski... itd. itd., że socjaliści tacy postępują jak szowiniści, jak lokaje okrytych krwią i brudem monarchii imperialistycznych i imperialistycznej burżuazji”.

W pracy „Marksizm a kwestia narodowa” przewidywał Stalin:

„Najzupełniej możliwy jest taki spłot koniunktur wewnętrznych i zewnętrznych, kiedy ta lub inna narodowość w Rosji uznaje za potrzebne postawić i rozwiązać sprawę swej niepodległości. I oczywiście nie jest rzeczą marksistów stawiać w takich wypadkach przeszkodę”.

Konkretnie zaś w sprawie Polski:

„Nie wyklucza to oczywiście możliwości pewnych wewnętrznych i zewnętrznych koniunktur, kiedy sprawa oderwania się Polski może znów stanąć na porządku dziennym”.

Przewidywanie oparte na metodzie dialektycznej okazało się proroczym. Sprawa oderwania się stała na porządku dziennym.

Z tak jasnym poglądem i nie zbaczając na włos od zasad szedł rewolucyjny ruch na spotkanie wydarzeniom. Gdy rosyjski Rząd Tymczasowy wchodził w początki kryzysu, wzrastająca na siłach partia bolszewików odbyła wiosną 1917 roku konferencję kwietniową, której wyniki ujęto w słynne tezy kwietniowe. W rezolucji o kwestii narodowej, po referacie Stalina, stwierdzono:

„Wszystkim narodom, wchodzącym w skład Rosji, należy przyznać prawo do swobodnego oderwania się i utworzenia samodzielnego państwa. Negowanie tego prawa i nieprzedsięwzięcie środków, gwarantujących praktyczną możliwość jego urzeczywistnienia, jest równoznaczne z popieraniem polityki zaborów lub aneksyj. Jedynie uznanie przez pro-

letariat prawa narodów do oderwania się zapewnia całkowitą solidarność robotników różnych narodowości i sprzyja prawdziwie demokratycznemu zbliżeniu narodów”.

II Zjazd Rad w Pałacu Smolnym uchwalił dekret o pokoju. W dekreście tym proklamowano zasadę samostanowienia narodów i zapowiadano unieważnienie wszelkich traktatów, zawartych przez rządy carskie o aneksjach terytorialnych dokonanych kosztem innych narodów. 15 listopada 1917 roku Rada Komisarzy Ludowych pod przewodnictwem Lenina uchwaliła słynną „Deklarację praw narodów Rosji”.

Nie ograniczono się do teorii i deklaratywnej działalności, lecz wysunęto wnioski w kwestiach związanych z Polską. Dekret z 9 września 1918 roku postanawiał:

„Wszystkie traktaty i akty, zawarte przez rząd b. Imperium Rosyjskiego z rządami Królestwa Pruskiego i Cesarstwa Austro-Węgierskiego, dotyczące rozbiórów Polski, ze względu na ich sprzeczność z zasadą samookreślenia narodów i rewolucyjnym poczuciem narodu rosyjskiego, który przyznał narodowi polskiemu prawo do niepodległości i zjednoczenia — znosi się niniejszym bezpowrotnie”.

W notach, złożonych w Berlinie i Wiedniu, wymieniano te traktaty szczegółowo: były to traktaty z r. 1772 i 1773, układ z r. 1795, traktat wiedeński z r. 1815, berliński z r. 1817 i traktat solidarności i gwarancyjny z r. 1833.

W ten sposób przekreślała rewolucja ciężkie grzechy zaborczego caratu, najściślej w myśl wskazań Lenina z kwietnia 1917 roku:

„Wszystkie oświadczenia, deklaracje i manifesty o wyrzeczeniu się aneksji, jeżeli nie towarzyszy im faktyczne urzeczywistnienie wolności oddzielenia się — sprowadzają się do burżuazyjnego oszukiwania ludu, lub do drobnomieszczańskich niewinnych życzeń”.

W tych dokumentach zawiera się stanowisko Rewolucji Październikowej wobec Polski. Nie ustępuje ono w niczym sławionym orędiom Wilsona, a w istocie rzeczy wywarło decydujący wpływ na rozwój sprawy polskiej.

Jeszcze dobitniejsze miały być następstwa rosyjskiej rewolucji, które zdecydowały o odbudowie naszego państwa po ostatniej wojnie. Rewolucja rosyjska usunęła bowiem polowiczność, która zawisała nad Polską w okresie międzywojennym.

Głównym efektem dwudziestu lat między dwiema wojnami była repolonizacja tej części ziem zachodnich, które wróciły do nas po roku 1918. Zwycięski wynik drugiej wojny światowej dokończył proces: w granicach Polski znalazły się wszystkie jej posiadłości na zachodzie i całe polskie wybrzeże Bałtyku.

Stало się to również zasługą polskich dywizji, które wraz z Armią Czerwoną wzięły udział w bitwach rozstrzygających o losie narodów i do wojennego dzieła mas ludowych, wyzwolonych przez Wielki Październik, wniosły naszą część.

Fakt ten, jeden z najbardziej doniosłych w dziejach narodu polskiego, wiąże nas ze zwycięstwem, toruje drogę w przyszłość i zapewnia miejsce w świecie postępu.



Moskwa — Kremł

MAKSYM GORKIJ

przełożyła ZOFIA KARPIŃSKA

DZIEWCZYNA I ŚMIERĆ

Wracal z wojny pokonany król.
Jedzie — żółcią się zalewa i przeklina
Nagle — słyszy — za krzakami bzu
Śmieje się dziewczyna.

Zmarszczył groźnie czoło i brwi chmurząc
Konia zaraz spina król ostrogą.
Wpada na dziewczynę ciężką burzą,
Krzyczy i strzemiona targa nogą.

„Z czego — krzyczy — dziewczko zła, zuchwała,
Z czegożes tak głośno rechotała?
Wróg mnie w walce pobił dziś na głowę
I drużyna wierna w pień wybita.
Ja tu jadę szyki stroić nowe.
Ze mną moja ocalała świta.
Gdy ja — pan twój, w bólu i we wstydzie,
Jakże mi twój śmiech niemądry widzieć?”

A dziewczyna zbiera wszystkie siły
I na piersi szal staranniejszą składa.

„Królu — mówi — ja tu byłam z miłym.
Odejdź ślad, najlepsza moja rada”.

Kiedy kochasz — trud to zbył olbrzymi
Wieść rozmowy choćby i z królami,
Toż niekiedy miłość gore silniej
Niżli świeczki w poświęcanym chramie.

Zadrzał król, dotknięty w swojej bucie,
Rzuca rozkaz, a już gniew go krztusi:

„Zaraz mi do lochu podłą wrzucicie,
Albo nie, — od razu ją udusić”.

I posłuszni króla swego mówie,
Wypełniając wyrok nad dziewczyną
Nędzne sługi i groźni panowie
W ręce Śmierci wnet oddają winną.

Śmierć złych duchów zawsze sługa karna,
Lecz tego dnia staruchę gniołła troska.
Wszak i w niej pęcznieją czasem ziarna
Miłości, szczęścia, wiosny siła boska.
Przykro tak od wieków niszczyć życie,
Nękanego choróbskami ciała.
Chciałoby się żyć mniej pracowicie,
Coś miłszego poznać by Śmierć chłiała.
Wszak przed kresem, co go kiedyś czeka.
Strach odczuwa nawet człowiek dumny.

Dokuczył Śmierci strach człowieka,
Sprzykrzyły się grobowce, katakumby.
Na zapuszczonej, zaniebanej ziemi
Niewdzięczne Śmierci jest zadanie.
Że dobrzą pełni je, — któż to oceni?
Ludzie zrozumieć tego nie są w stanie.
I cóż dziwnego, że ją w końcu boli,
Że nikt jej za potrzebną nie uważa?
Więc często w swej złośliwej samowoli
Nie tego, co zastużył, na grób skarze.

— Może by pokochać Lucypera,
Kochanka o ognistych lokach?
Szlochać z miłości i umierać? —
Rozważa w sobie Śmierć głęboko.

III

Dziewczyna przed Kostuchną stoi,
A Kostuchnie tej ofiary szkoda.
Dziewczyna Śmierci się nie boi,
A Śmierć mruży: — „Jaka też to młoda!..
Cóżes ty przed królem buntowała?
Nie będziesz ty słoneczka oglądała”.

— „Ach, zostaw! — odpowiada dziewka. —
I za co ty się na mnie gniewasz?
Piewszy raz mój miły mnie całował
Pod krzakami zielonego bzu.
Czyż o królów boli wtedy głowa?
No, a pan nasz, na złość, jechał tu.
Więc go proszę, — a on z wojny bieżał
I z nim wielka różnych sług czereda —
„Odejdź królu!” — Mówiłam, jak należy,
A o! widzisz, wyszła z tego biada.
Cóż, nie ujdzie Śmierci moja głowa.
Umrzeć mam, miłego nie zaznawszy...
Kostusiul! Pozwól mi raz jeszcze pocałować
Niechaj cię ta mowa nie przestraszy.”

Bardzo prośba taka Śmierć zdziwiła.
Tak przemawiać nikt się nie ośmielił.
Ale myśli — „Czymże będę żyła,
Gdyby ludzie kochać nie zechcieli?”

I na ciepłym słonku grzejąc kości
Siada na kamieniu przy dolinie.
— „Prędejl! — mówi — Idź do swej miłości.
Nocka twoja. Lecz o świecie zginiesz”.

Przywołana przez Kośluchę żmija
Żądtem liże pani kosę krzywą.
Dziewczkę stoi, tży radości kryje.
A Śmierć mruży, — „Idź już prędzej, żywo...”

IV

Mile słonkiem wiosennym ogrzana,
Zzula Śmierć zdeplane swoje łapcie.
Wyciągnęła się strudzona, na kamieniu,
I usnęła — lecz miała sen niedobry.

Śniła o tym, że jej ojciec Kain,
Razem z swym prawnukiem Iskariotą,
Tacy słabi, wloką się pod górę
Niby stare dwa bezsilne gady.

— „Panie!” — posępnie jęczy Kain,
Wznosząc w niebo pomętniałe oczy.
— „Boże!” — woła podły Iskariota
Nie unosząc sponad ziemi wzroku.
A nad górą, na rumianej chmurze,
Leży sobie Bóg, czytając księgę,
Księgę, gwiazdami zapisaną.
Mleczna droga to jedna z jej kartek.

Na wierzchołku stoi sam archanioł,
W białym ręku trzyma snop błyskawicy,
I powiada surowo wędrowcom:

— „Idźcie precz! Nie trudźcie się daremnie”.
— „Och, Michale, — prosi Izawo Kain —
Dobrze wiem, jak wielka moja wina,
Ja wydałem na świat straszną zmore.
Złęga karta, podłą, nędzną Śmierć”.

— „Archaniele!” — pokornie szepcze Judasz,
„Wiem, żeś bardziej grzeszny od Kaina.
Ja zdradziłem i sprzedałem Śmierci
Boże serce, jasne i przeczyste”.

I tak głośno jęczą i biadają:

— „Niechaj Pan przemówi chociaż słówko,
Niechże nas przynajmniej pożałuje.
Nie prosimy wszak o przebaczenie”.

Na to Michał cicho odpowiada:

„Już trzy razy mu to powiedziałem,
Dwukroć do mnie jednak nic nie odrzekł.
Wreszcie ruchem głowy mi odmówił
I powiada: — „Póki Śmierć grasuje
Niech im ten daruje, co potrafi
Po wiek wieków Śmierci moc pokonać”.

Tu przekłety Judasz z bratobójcą
zapłakali i zawyli od rozpacy
I objawszy się, stoczyli się z powrotem
W cuchnące bagno u stóp góry.

A w bagnie szaleją triumfujące
złe duchy, wilkołaki i szatany
I plują na Kaina i Judasza,
Błękitnym, mokradłowym ogniem.

V

Coś w południe Śmierć dźwignęła kości.
Patrzy — pusto, — więc ją zdjęła złość.
Mruży sennie: „Tak to z tą miłością.
Widać nocki jej nie było dość”.

Więc leniwle sięga po słonecznik,
Co nad niskim się pochyła płotem.
Wącha, cieszy się, że słońce piecze
I maluje liść osiny złotem.
W ciepłym blasku grzejąc nogi bosa
Zanurzyła nagle Śmierć półgłosem:

— „Bezliłość, bez sumienia
Niewinnego ludzkiego zduszą.
I chowają pośród pienia:
„Panie, świeć nad jego duszą”.

Nie pojmują tego wcale:
Drepczy ludzi tyran — zwierz,
A gdy skisnie — nad nim też
Wyśpiewują gorzkie żale.

Czy uczciwy, czy też zbój,
Skończy żywot — ludzie muszą
Zaraz wylać smutek swój:
„Panie, świeć nad jego duszą”.

Nad idłotą czy łajdakiem,
Gdy go zęby Śmierci skruszą
Zawsze śpiewa chór jednaki:
„Panie, świeć nad jego duszą”.

VI

Śpiew skończony. Śmierć już z nudów ziewa,
Toć minęło więcej niżli doba,
A nie wraca od miłego dziewa.
Śmierci się to wcale nie podoba.

Ledwie doczekawszy księżycy
Wdziała zdarte łapcie na nogi
I jak rozjuszona diablicy
Rusza na spotkanie niebogi.
Idzie — aż nad jasnym strumieniem,
Widzi obraz jak senne marzenie.
Pod leszczyną, w blask księżycy odziana,
Siedzi dziewczkę, piękne niby Diana.

W miękkiej trawie pod młodzieńczym krzakiem,
Z nagą piersią tkwi bezwstydnie i śmiało.
Ślady pocałunków jak makł
Zdobią atlasowe jej ciało.
Jak dwie gwiazdy sutki jaśnieję
Lśni łagodnie wierne spojrzenie,
Ona topi je w niebo z nadzieją,
W planetarne, gwiazdne przestrzenie.

Koral ust jej — jak świeża rana.
Pod oczami liliowe cienie.
Wsparłszy głowę na bogdanki kolanach
Drzemie młodzian jak znużony jeleni.

Śmierć spogląda i gniewu zarzewie
Zwolna gaśnie w czerepie srogim,
— „I cóż ty podobna małce Ewie
Kryjesz się pod krzaki przed Bogiem?”

A dziewczyna promiennym ciałem
Przed Kostuchą miłego chroni
I podnosząc swe oczy śmiało:

— „Nie krzycz na mnie! — przemawia do niej.
Zaraz przyjdę i stąpię w mogiłę.
Już za chwilę wykonam twój nakaz,
Lecz ty zamilcz, bo zbudzi się miły.
Proszę ciebie — ochraniaj biedaka.

Daruj, że nie przyszedł w porę,
Całą winę na siebie biorę.
Raz go jeszcze pożegnaj czule —
Patrz jak dobrze mu, kiedy go tulę.
I on — dobry. Patrz, jak mnie całował.
Jakie znaki na piersiach zostawił.
Płonie serce i usta i głowa,
A ślad każdy niby mak krwawi”.

Śmierć zaśmiała się cichutko, nieśmiało:

— „To prawda. Jakby słońce całowało.
Ale — kiedy ją z tobą skończę?
Wszak mam obowiązków tysiące.
Tyle pracy, pośpiechu tyle.
Chociaż stara — muszę wiernie służyć.
Wykorzystać trzeba każdą chwilę —
Pójdź dziewczyno. Roboty mam dużo”.

A dziewczyna:

„Gdy pieści miły,
Znika niebo, przepada ziemia.
Dusza płonie nieznaną siłą,
Nie ma strachu i śmierci nie ma.
Żyje miłość płocha jak dziecię
Lekceważąc ludzi i Boga.
Sama sobie rada na świecie,
Sama sobie miła i droga”.

Słucha Śmierć w surowej zadumie,
Przerwać pieśni dziewczęcia nie umie.

Wszakże słońcu należy się chwata,
Gdzież jest siła — jak miłość wspaniała?

VII

Milczy Śmierć, stojąc przed dziewczyną.
Żar zawiści płonie w jej głowie.
Żar w jej kościach kipi jak wino.
Jakże w końcu Śmierć postanowi?

Wszak kobietą jest, choć nie matką.
W życiu mało z rozumem się liczy.
A w jej sercu tkwi wiele zadatków
Gniewu, żalu i dziwnej tęsknoty,
Temu, kogo pokocha najmocniej,
Czyja dusza bólem zraniona
Jak mu słodko szepcze w ćmie nocnej
Że go weźmie w swoje ramiona...

— „I cóż — mówi Śmierć — niech będzie dziwo,
Niech się spełni na twej osobie,
Żyj dziewczyno i bądź szczęśliwą
Lecz ja będę wiecznie przy Tobie!”

Odtąd Śmierć i Miłość zawsze razem
Po świecie krążą niby para.
Gdzie Miłość — za nią tuż z żelazem
Śmierć w tropy ciągnie stara.
Na stypie i na weselu,
W rozgwarze dnia i w nocnej ciszy
Wlóczy się zawsze Śmierć bez celu
I siostrze swej, Miłości, towarzyszy.

KONSTANTY GRZYBOWSKI

BEVINIZM

Swego czasu, u zarania drugiej polskiej niepodległości, oświadczył angielski minister spraw zagranicznych w czasie dyskusji w Izbie Gmin nad zagadnieniami polskimi: „nobody knows the polish policy“ — „nikt nie zna polityki polskiej“. Pilny polski czytelnik prasy angielskiej mógłby, wychodząc z założenia, że zarówno prasa jak i rząd odzwierciedlają opinię społeczeństwa, dojść do przekonania, że slogan ten dałby się dziś raczej zastosować do polityki brytyjskiej.

Pamiętając niedawne artykuły Harolda Laskiego o sytuacji wewnętrznej w Polsce i, że Laski jest jednym z najwybitniejszych przywódców Partii Pracy, czytelnik polski bierze np. do ręki „Spectator“ — pismo raczej konserwatywne — z 27 września 1946. Z ciekawie ujętego artykułu „Berlin to Moscow“ dowiemy się, że polska rekolonizacja ponemieckich ziem wschodnich jest nieuniknioną konsekwencją zmiany granic Polski na Wschodzie, że Wrocław jest dziś miastem, mającym ogromną przewagę Polaków, że koleje w Polsce funkcjonują sprawnie i że w wagonie kolejowym można swobodnie, z nieznanymi współpasażerami rozmawiać o pogromie kieleckim, przyczynach i podłożu antysemityzmu w Polsce i o kardynale Hlondzie.

Czytelnik polski bierze potem do ręki — raczej liberalny — „Economicist“ z 28 września 1946 i z artykułu „The Slavs“ dowiaduje się, że solidarność państw słowiańskich ma trzy realne przyczyny: niebezpieczeństwo niemieckie, grożące przede wszystkim Słowianom, niechęć lub niemożność państw zachodnich położenia tamy imperializmowi niemieckiemu, obawę, iż państwa te gotowe są tolerować odbudowę potęgi niemieckiej i włoskiej. A na końcu artykułu znajduje stwierdzenie: „Słowiańszczyzna jest solidnie ugruntowana począwszy od pacyficznych wybrzeży Syberii aż po Odrę, granice Bawarii i wzgórze wokół Triestu“.

Po takiej ocenie faktów Polak nastawia radio na BBC i słyszy oświadczenie brytyjskiego wiceministra spraw zagranicznych w sprawie polskiej ordynacji wyborczej i oświadczenie brytyjskiego ministra spraw zagranicznych o związku między ratyfikacją zachodnich granic Polski a „wolnością“ wyborów w Polsce — i nic nie rozumie, „nobody knows the british policy“, która wprowadzie realnie ocenę fakty, ale nie chce z nich wyciągnąć realnych konsekwencji.

Chyba, że czytelnik polski sięgnie do zeszytu labourystowskiego „The New Statesman and Nation“ z 5 października. Tam bowiem znajdzie definicję „bevinizmu“: „jest to pogląd, iż można być za socjalizmem w Europie na podstawie antykomunistycznej“ — i konfrontację bevinizmu z rzeczywistością: „gdziekolwiek w Europie mamy do czynienia z socjalistyczną odbudową, dokonują jej zjednoczeni socjaliści i komuniści. Gdziekolwiek na kontynencie socjaliści i komuniści nie współpracują — tam są odsunięci od władzy“. Wtedy Polakowi zdaje się, że rozumie. Ale zaraz przypomnia sobie, że „New Statesman“ odzwierciedla poglądy Labour Party, że minister Bevin jest ministrem Labour Party — i znowu nic nie rozumie. A raczej rozumie, że polityka brytyjska wobec dzisiejszej Polski nie jest polityką zasad, ale polityką urazów (to tłumaczy stanowisko nie tylko wobec współpracy PPS i PPR w Polsce, ale również stanowisko wobec współpracy socjalistyczno-komunistycznej we Francji czy Włoszech, gotowość robotniczego rządu angielskiego do popierania w Grecji raczej prawicy niż socjalistów greckich, skoro socjaliści greccy nie wypierają się możliwości porozumienia z komunistami, uznawania raczej rządu gen. Franco niż hiszpańskiego rządu demokratycznego, skoro do tego drugiego wchodzi też i komuniści) — i polityką, która traktuje poszczególne kraje jako obiekty targów międzynarodowych.

Ostatnie oficjalne wystąpienia brytyjskie wychodzą z założenia, iż w Polsce nie ma wolności politycznej — a ponieważ twierdzenie to jest wy-

nikiem specyficznej analizy rzeczy wistości polskiej, dla uproszczenia sprawy nie zajmujemy na razie wobec niego stanowiska. Ale konsekwencją takiego twierdzenia jest przyznawanie sobie przez rząd angielski monopolu na „autentyczną“ interpretację porozumienia jałtańskiego i teza, jakoby wykonanie postanowień poczdamskich było warunkowane wykonywaniem postanowień jałtańskich w sposób, jaki rząd angielski uważa za właściwy. Należy stwierdzić, że metoda ta zastosowana wobec Polski odbiega od brytyjskiego poglądu na prawo międzynarodowe. Brytyjski pogląd — to teza, że żadne mocarstwo, żadne państwo, nie ma prawa swobodnego i suwerennego interpretowania umów międzynarodowych, że należy to do Organizacji Narodów Zjednoczonych i jej organów (np. Trybunał Haski).

O ile się nie mylę, teza, iż każde państwo suwerennie interpretuje, czy jego kontrahent dotrzymuje umów, była dotąd reprezentowana

przez hitlerowski rząd byłego państwa niemieckiego i teza ta została np. zastosowana do Polski w deklaracji, iż Niemiec nie wiąże pakt o nieagresji. Dziś mamy, w zlagodzonej formie, zastosowanie tej samej metody interpretacyjnej przez inne państwo w stosunku do tej samej Polski. Trudno oprzeć się refleksji, że widocznie, mimo pokonania hitlerizmu, niewiele się zmieniło.

Rząd brytyjski zdaje się stać ponadto na stanowisku, że warunkiem uznania zachodnich granic Polski będzie takie przeprowadzenie wyborów w Polsce, które Anglicy uznają za „wolne“. Tu znowu mamy pewną zmianę dotychczasowego stanowiska brytyjskiego. Jeśli się nie mylę, dotąd rządzący tłumaczyli swym brytyjskim wyborcom, że istnieje wzajemne uwarunkowanie zgody brytyjskiej na nowe granice Polski na Wschodzie i zgody brytyjskiej na nowe granice Polski na Zachodzie. Jeśli tak jest — a wszelkie dotychczasowe wypowiedzi brytyjskie upo-

ważniają do tego twierdzenia — mamy do czynienia znowu z osobliwą metodą polityczną. Skoro Polska już zaakceptowała swe nowe granice na Wschodzie, można uznać jej zachodnich granic uzależnić od nowych warunków. Trudno tę metodę uznać za właściwą wobec jedynego, w pewnym okresie czasu, sprzymierzeńca w wojnie z Niemcami.

Istnieje w Polsce stronnictwo, które deklarowało niedawno, że żądanie wykonania porozumienia jałtańskiego nie jest ograniczaniem suwerenności Polski. Słusznie, ale nie w tym jest istota zagadnienia. Ograniczeniem suwerenności Polski nie jest wykonywanie umów jałtańskich, ale łączenie stanowiska wobec granic zachodnich Polski z kontrolą wykonania specyficznie interpretowanych umów jałtańskich. Tu jest istota zagadnienia, które ostatnie mowy brytyjskich mężów stanu postawiły z całą jasnością wobec wszystkich stronnictw politycznych w Polsce.

Konstanty Grzybowski

WINCENTY WITOS



31 października br. minęła pierwsza rocznica śmierci organizatora i przywódcy polskiego ruchu chłopskiego — Wincentego Witosa.

brze w ich towarzystwie. Natomiast nudzą i drażnią go mniej potężni i mniej wytworni przedstawiciele Węgier, Jugosławii i innych krajów.

Wertując pamiętniki Ciano pełne niewiarygodnego chłodu i cynizmu, dochodzimy do wniosku, że zarówno Wielka Brytania jak i Francja prowadząc w pierwszym roku wojny rozmowy i pertraktacje z Mussolinim i z Ciano, nie chciały czy też nie umiały zrozumieć i uwzględnić pewnych elementów czysto psychologicznych. Anglii wydawało się, że włoskiego szkala będzie można trzymać na utożsamieniu przy pomocy pewnych koncesji gospodarczych jak np. zgoda na dostawę węgla. Francja nie prowadziła względem Włoch polityki zdecydowanej. W każdym razie mocarstwa te nie uwzględniały momentów ambicji, charakteryzujących władców i polityków ówczesnych Włoch. Gdyby było inaczej, może udałoby się dłużej utrzymać Włochy w neutralności.

Wracając do samych pamiętników Ciano, są one pokazowym niemal dowodem, na czym właściwie polegała faszystowska dyktatura. Ciano nie próbuje nawet jakichś motywacji ideologicznych. W gruncie rzeczy ani on, ani nawet Mussolini nie mają zdecydowanych sympatii dla koncepcji politycznych, o które walczą, dla których wciągają kraj w otchłań nędzy i upadku. Ten kraj, to społeczeństwo, jego przyszłość nie obchodzi ich w najmniejszym stopniu. Gra idzie wyłącznie o utrzymanie się przy władzy, o to, by nie odejść z próżnymi rękami. Każdy krok, każde posunięcie, dyktowane jest wyłącznie tymi względami.

Jacek Frühling

W poprzednim 43 (100) numerze „Odrodzenia“ z dnia 27 października 1946 r.: Józef Sieradzki: „Za prawdę muszę być gotów oddać życie.“ — Z teki „Warszawa“ T. Kulisiwicka. — Julian Przybóg: Moje początki. — Wacław Kubacki: Wczasy literackie. — Janina Pregrówna: Poesmat pedagogiczny. — Tadeusz Dobrowolski: O twórczości Tadeusza Kulisiwicka. — Nowe wiersze: Tadeusz Różewicz: Katastrafa. Bursztynowy ptaszek. — Marian Podkowski: Drugie Monachium. — Tadeusz Breza: Zółtowie wycieczki. — Paul Claudel (przełożyła Anna Świrszczyńska): Ballada. — Stefan Papée: Zapomniane źródło „Krzyżaków“. — Malarstwo polskie (Daniel Chodowiecki). — Kazimierz Wyka: Pod znakiem Prusa i Sienkiewicza. — Ludwik Bandura: O wybor bajeł dla dzieci. — Bogusław Kuczyński: Notatki angielskie. — Jan Męczyłowicz: W Koczkodanie. — Poezje: Mieczysława Buczówna: Liście. Anna Pogonowska: Cień gwiazd. Petyś. Tadeusz Sokół: Powstaniec. Jacek Bocheński: Powrót. — Rysunki: Adama Męczyłowicza: Krajobraz dolnośląski. — Stanisław Nienaltowski: Jedno piękne życie. — Malarstwo francuskie (Gustave Courbet). — Stefan Zółkiewski: Aktualne zagadnienia naszego piśmiennictwa. — Stefan Łęczycki: Tel-Aviv. — Paweł Konrad: Na tropach Monte Cassino. — Krystyna Kuliczowska: Epos heroicomiczny o trójce wiewnych przyjaźni. — Mieczysław Dereżyński: Toruń przypomina się starym drukiem, piosenką i piernikiem. — Józef Sieradzki: Temat warszawski. — Helena Blumówna: Hellenistyczne malowidło w grobowcu trackim. — Tadeusz Konwicki: Powieść i traktaty. — Stefan Szuman: Psychologia zwierząt. — Jadwiga Hodorska: Z wystawy w Gdańsku. — J. A. Szczepański: Książka Fiedlera. — Stanisław Urbańczyk: Czy Norwid był Wikingiem? — Jaszcz: Bomba atomowa na Polskę. — Stanisław Witold Balicki: Odwiedziny teatralne. — kłw: Szkoła krytyków: Sytuacja poezji. — Konstanty Grzybowski: Wyborcy drobniomieszkańscy. — Stefania Łobaczewska: Życie muzyczne w Krakowie. — gi: Ernst Wiechert i „Krakauer Zeitung“. — tr: Fakir literacki — Tydzień bibliograficzny. — Wacław Kubacki: Z teki dra Prota Sowidzka: Fragmenty dziennika. — „Mąż i żona“ Fredy w Katowicach. — Nominacja. — gi: Sztuka nie jest towarem. — Zbigniew Lengra: Szary człowiek L. (rys.) — 23 str. — 24 strony.

DOKUMENT CYNIZMU

Ciano o sobie, Włoszech i Mussolinim

W historii nie ma chyba okresu powojennego tak obfitego we wspomnienia, przyczynki i pamiętniki, jak okres przeżywany obecnie. Trawestując poetę można by powiedzieć: rozlała się nad światem baria z pamiętnikami. Jedną z przyczyn tego zjawiska jest z pewnością takie nagromadzenie zbrodni, takie nasilenie zła i okrucieństwa, tyle lekkomyślności, płynącej z oschłości serca i wygodnictwa, że poszczególni ludzie, a imię ich legion, uśmiału w pamiętnikach wypowiedzieć jakąś obronę, usprawiedliwienie się, a nawet w pewnych wypadkach znaleźć ulgę dla nad miarę obciążonego sumienia.

W ostatnich czasach w Polsce stosunkowo dużo mówi się i pisze o pamiętnikach hr. Ciano, które są typową próbą oczyszczenia się i obrony. Ciano przez szereg lat miał zwyczaj codziennego notowania wydarzeń. Osadzony w więzieniu przez Mussoliniego, zapewne w nadziei, że przyjdzie jakiś cud, dzięki któremu uda się uratować życie — niezawodnie aszkurując się na przyszłość — Ciano spreparował swój pamiętnik w ten sposób, by miał on charakter pewnego rodzaju deklaracji obrończej. Po rozstrzelaniu Ciano pamiętnik jego wyszedł na światło dzienne dzięki żonie jego, córce Mussoliniego, Eddzie Ciano. Należy więc przyjąć, że pewne fragmenty, pewne ujęcia zostały odpowiednio przyrządzone i ufrizonowane. Niemniej jednak, po bliższym zapoznaniu się, książka Ciano, która stanowi niezwykle ciekawy przyczynek do historii minionej wojny, wywołuje nieodparte wrażenie, że mamy do czynienia z dokumentem autentycznym, może tylko gdzieś gdzie uzupełnionym czy skorygowanym.

Cechą zasadniczą pamiętników Ciano, których drugi tom ukazuje się w najbliższej przyszłości, jest brutalna szczerze. Ciano rysuje się na tle swoich pamiętników jako człowiek, któremu przede wszystkim i niemal wyłącznie chodziło o karierę. Wszystko, co pisze, pozbawione jest cienia choćby zainteresowania dla ludzkich cierpień czy radości. Narody, społeczeństwa, nie wyłączając narodu i społeczeństwa własnego, nie istnieją dla hr. Ciano. Wszystko, co robi, o czym myśli, związane jest

wyłącznie ze sprawą osobistego sukcesu, osobistej kariery, a przede wszystkim osobistej ambicji. Ciano, typowy reprezentant dobrej, starej, arystokratycznej rodziny, czuje do Hitlera i hitlerizmu niechęć graniczącą z nienawiścią nie dlatego, żeby mu nie odpowiadały jego koncepcje polityczne lub jego metody. Nienawidzi w nim przede wszystkim plebejstwo. Ci plebejusze, czując się nieskończenie silniejsi od włoskich partnerów, na każdym kroku ukazują i podkreślają tę swoją brutalną siłę. Toteż, kiedy Hitler i przed wojną i podczas wojny ex post zawiadamia Włochy o różnych niezwykłych ważnych posunięciach i rozstrzygnięciach (żeby wymienić zabór Austrii, najazd na Czechosłowację, zajęcie Norwegii), Ciano jest oburzony nie tyle samymi faktami, ile właśnie tym, że niemiecki cham postawił pana hrabiego wobec faktu dokonanego.

Ta postawa wobec życia i jego przejawów określa również z góry stosunek Ciano do Mussoliniego. Ciano zawzięcie ma całą swoją fantastyczną karierę. Do czasu jest w stosunku do duce lojalny, widząc w nim tego, dzięki któremu osiągnął szczyt marzeń. Ale z kart książki raz po raz przebija coś w rodzaju niechęci do plebejskiej brutalności możnego teścia. Toteż mówiąc i pisząc o Mussolinim, notując na jego temat różne plotki i powiedzenia, m. i. czyjeś tam twierdzenie, że Mussolini — to typowy syfilityk, ani razu nie zdobywa się Ciano na odrobinę choćby ciepła czy sentymentu dla duce. Natomiast kiedy pisze o królu, o papieżu, o tzw. swojej sferze, jest ciepły, serdeczny, czuje się, że ma z tymi ludźmi duchowy kontakt, że ich dobrze rozumie.

Jak powiedzieliśmy, motywem decydującym, zasadniczym w odczuwaniach i reakcjach hr. Ciano jest motyw ambicji. Gdyby Hitler nie był tak brutalny, Ribbentrop tak wymiośli, Göring tak drażnił, kabotyński i pewny siebie, gdyby ci wszyscy ludzie nie urażali na każdym kroku tej ambicji, Ciano czułby się z nimi doskonale. Że byli i są zbrodniarzami, nie interesuje go, gdyż jest stuprocentowym cynikiem, nie uznającym żadnej ideologii, żadnego pionu moralnego. Rzecz cha-

rakterystyczna i ciekawa, że Mussolini będący przeciwieństwem Ciano, jest, jak wynika z pamiętników, zżerany tą samą ambicją. W pierwszym roku wojny duce szaleje za każdym razem, kiedy Berlin zawiadamia go ex post o różnych sprawach i posunięciach. Ta urażona ambicja, ten wieczny strach znalezienia się na szarym końcu przesądza o postawie Mussoliniego. Duce wie, że kraj nie jest przygotowany do wojny, że wyekwipowanie i zaopatrzenie armii wygląda fatalnie. Ale mimo to chciałby jak najprędzej wziąć aktywny udział w tej wojnie, bo wyobraża sobie, że stawszy się partnerem współwalczącym będzie lepiej traktowany. Do jakiego stopnia grały rolę momenty ambicji, dowodzi zanotowany przez Ciano fakt następujący: Pewnego razu przybył do Rzymu z Poznańskiego pewien dyplomata włoski i złożył Mussolinemu szczegółowy raport o okrucieństwach, jakich Niemcy dopuszczają się w Polsce. Dyplomata rozmawiał z Mussolinim w dniu, w którym duce, ustawicznie zabiegający o łaski i względy Hitlera, doznał od führera jakiegoś jaskrawego afrontu. I oto po otrzymaniu raportu Mussolini wzywa do siebie Ciano i każe mu drogą dyplomatyczną postarać się o to, by ten wyraźnie antyniemiecki raport został opublikowany w prasie francuskiej i angielskiej.

Skoro mowa o zagranicy, o stosunkach z nią w okresie, kiedy Włochy były neutralne — to z pamiętników wynika, że bezpośrednie kontakty z przedstawicielami narodów sprzymierzonych utrzymywał niemal wyłącznie Ciano. I tutaj w tych stosunkach przejawia się cała jego natura, natura arystokraty, człowieka kierującego się namiętnościami i sympatiami, pozbawionego najzupełniej pionu. Więc np. Polska, jej los, jej przyszłość nie Ciano nie obchodzi. Ale Wieniawę-Długoszowskiego, ambasadora polskiego, Ciano osobiście lubi. Ten bonviveur i kawalerzysta z fantazją i sentymentem osobiście mu odpowiada. Taki sam lub podobny jest stosunek Ciano do przedstawiciela Francji, François Poncet, do ambasadora Anglii, Percy Lorraine. To są wielcy panowie, to są dyplomaci z tradycjami, więc Ciano chętnie z nimi rozmawia, czuje się do-

POCZĄWSZY OD NAJBLIŻSZEGO NUMERU

„ODRODZENIE“ DUKOWAĆ BĘDZIE CYKL ARTYKUŁÓW
KSAWEREGO PRUSZYŃSKIEGO

STANISŁAW A. MAJEWSKI

Oświata w planowej gospodarce narodowej*)

Faktyczne losy nawet doskonale pomyślanego planu zależą od jego wykonawców, a w planie obejmującym całość gospodarki narodowej wykonawcą jest ogół pracowników fizycznych i umysłowych. Im wyższy jest ich przeciętny poziom umysłowy i fachowy, im liczniejsze są kadry specjalistów o wysokich kwalifikacjach technicznych i naukowych, tym większa jest wydajność pracy, tym wyższa jakość wytworów, tym częstsza inicjatywa, pomysłowość i wynalazczość. Słowem, realne planowanie gospodarcze musi w swych kalkulacjach uwzględnić w należytej mierze usługi oświatowe.

UPOWSZECHNIENIE OŚWIATY

Krajowa Rada Narodowa w swej uchwałie z dnia 27. IX rb. w sprawie Planu Odbudowy Gospodarczej ujmuje zagadnienie oświaty powszechnej w sposób następujący: „Przy założeniu wprowadzania w życie zamierzonej reformy szkolnej, usługi oświatowe powinny w roku 1949 przewyższyć poziom roku 1938. Jak najszybciej odbudowana musi być sieć szkół podstawowych na Ziemiach Odzyskanych. Zapewniona być musi dostateczna liczba wyszkolonych nauczycieli”.

Tymczasowe liczby podstawowe w dziedzinie szkoły powszechnej zawarte są w poniższej tabeli:

Wyszczególnienie	Jednostka miary	1945/6	1946/7	1947/8	1948/9 w porównaniu z r. 1938/39
uczniowie	tys. osób	3 150	3 300	3 450	104,7%
nauczyciele	tys. osób	71	77	82,5	139,7%
izby lekcyjne	tys. izb	59	65	70,5	144,2%

W liczbach bezwzględnych ilość uczniów powinna w roku 1948/49 wzrosnąć o 350 tysięcy, w porównaniu z rokiem 1938/39. Zakładając, że w roku 1949 liczba ludności osiągnie 25 milionów, ilość dzieci objętych w tym roku szkołami powszechnymi wyniesie 14% ogółu ludności. W roku 1938/39 ilość dzieci, będących w wieku szkoły powszechnej, wynosiła 15%, a ilość dzieci uczących się w szkołach powszechnych 13,4% ogółu ludności. Zatem pół miliona dzieci w wieku szkolnym nie było w tym roku objętych nauczaniem powszechnym. Wzlawszy pod uwagę, że w latach okupacji rozrodziło się zmniejszała, a śmiertelność dzieci zwiększyła, można przyjąć, że roczniki dzieci w wieku szkoły powszechnej nie przekroczą w roku 1949 14% ogółu ludności. Innymi słowy, w końcowym roku planu odbudowy wszystkie dzieci w wieku szkolnym będą objęte nauczaniem powszechnym.

Całkowite osiągnięcie celów nauczania powszechnego zależy w dużej mierze do ilości nauczycieli i od ilości izb lekcyjnych. Podstawowe liczby planu przewidują na rok 1949 przyrost nauczycieli o 17 tysięcy w porównaniu z rokiem 1938/39. Gdy w ostatnim przedwojennym roku szkolnym jeden nauczyciel obsługiwał 53 uczniów, a w roku 1945/46 — 44 uczniów, w roku 1948/49 przeciętna liczba uczniów przypadająca na jednego nauczyciela wynosić będzie 39 uczniów. Innymi słowy — oznaczałoby to znaczne powiększenie efektów dydaktycznych i wychowawczych.

W roku 1938/39 posiadaliśmy w dziesięciu granicach kraju 52 tysiące izb lekcyjnych, w roku 1945/46 — 59 tysięcy, na ostatni rok odbudowy gospodarczej plan przewiduje 65 tysięcy izb lekcyjnych, czyli przyrost w trzyletnim okresie odbudowy wynoszący 13 tysięcy w porównaniu z rokiem 1938/39. Wynika z tego, że gdy w roku 1938/39 na jedną izbę lekcyjną wypadało 64 uczniów, w roku 1945/46 — 54 uczniów, to w roku

1948/49 1 izbę przypadać będzie na 47 uczniów. Byłoby to znaczny krok w kierunku likwidacji tzw. nauczania łącznego (obejmującego dwa lub więcej roczników w jednej izbie) oraz nauczania na kilka zmian.

Takie oto są cyfry odnoszące się do nauczania powszechnego. Są jednak bardzo istotne sprawy, o których cyfry te nie mówią.

GOSPODARCZE ASPEKTY OŚWIATY POWSZECHNEJ

Maksymalne upowszechnienie oświaty szkolnej, to jest objęcie nią wszystkich dzieci w wieku szkolnym, stanowi dzisiaj bezsporny postulat kulturalny. Nie wszyscy jednak wyznawcy tego postulatu zdają sobie dostatecznie sprawę z trudności gospodarczych, jakie następcza jego realizowania. Trudności te są tak różnorodne, że niesposób omówić ich w ramach jednego artykułu. Wystarczy tu zaznaczyć, że należyte rozplanowanie sieci szkół powszechnych w kraju o dużym odsetku ludności rolniczej zależy od struktury populacyjnej wsi i osiedli, ich geograficznego rozmieszczenia i przeciętnego poziomu osiągniętego przez kraj w dziedzinie dróg bitych i żelaznych oraz środków lokomocji. Kwestia rzeczywistego zrealizowania nauczania powszechnego i całkowitego osiągnięcia celów dydaktycz-

nych nie może być ujmowana w odezwaniu od ogólnego gospodarczego rozwoju kraju. W szczególności należy pamiętać, że upowszechnienie oświaty wymaga ogromnego nakładu kosztów, który może ponieść tylko kraj o odpowiednio dużym dochodzie narodowym. W każdej racjonalnej dalekowzrocznej gospodarce bezwzględnie musi obowiązywać zasada nienaruszania substancji majątku narodowego, nawet dla celów najbardziej szczytnych. Każde bowiem naruszenie substancji majątkowej musi wywołać niedopuszczalne reperkusje gospodarcze i na dalszą metę zubożenie kraju.

Również sprawa opłacalności oświaty powszechnej pomijana bywa niemal zupełnie przez „czystych“ oświatowców. Tymczasem ta tak trywialnie brzmiąca kwestia opiera się na bardzo realnych faktach, a fakty — jak mówią Anglicy — są uparte. Jest rzeczą wiadomą, że każdy rodzic stając wobec sprawy posłania dziecka do szkoły bierze pod uwagę efekt gospodarczy wykształcenia. Nieopłacalność gospodarcza nauki szkolnej była najważniejszym powodem upartej, zastarzałej niechęci niektórych warstw ludu wobec szkoły. Dla zwalczania tej niechęci wprowadzono w wielu krajach w minionym stuleciu ustawy przymusu szkolnego. Ale mimo wprowadzenia tego przymusu, analfabetyzm trwał nadal tam, gdzie nie było warunków gospodarczych sprzyjających oświacie powszechnej. Na odwrót, analfabetyzm zniknął i bez zastosowania przymusu szkolnego w tych krajach, w których oświata powszechna i wiedza nabyta w szkole dawała efekt gospodarczy, gdzie od jej posiadania zależała możliwość awansu społecznego. Także społeczeństwu, jako zbiorowości, kosztą potrzebne na utrzymanie sieci szkół opłacają się tylko wówczas, gdy udzielana w szkole nauka podnosi ogólny przeciętny poziom pracowników zwiększa wydajność pracy pod względem ilości i jakości. W przeciwnym razie nauka nabyta w szkole powszechnej, będąc martwą, ulatnia się szybko i ustępuje miejsca tzw. wtórnemu analfabetyzmowi, a koszty złożone na oświatę powszechną w dużej części idą na marne.

Oczywiście, nie tylko oświata na poziomie szkoły powszechnej ma aspekty gospodarcze. Wszystkie poziomy i typy nauczania i również badania naukowe związane są pośrednio lub bezpośrednio z ogólnym sta-

nem gospodarstwa narodowego. Dla tego los wszystkich zamierzeń oświatowych i naukowych zależy od dziedzin życia na pozór bardzo oddalonych od szkoły i zakładu naukowego. Uprzemysłowienie kraju, unowocześnienie rolnictwa pod względem narzędzi i metod pracy, wzrost i właściwy rozdział dochodu narodowego, zróżnicowanie produkcji krajowej, podwyższenie przeciętnej stopy życiowej — wszystkie te czynniki muszą tworzyć fundament pod solidny i trwały gmach powszechnej oświaty i kultury narodowej. Zadaniem zaś naczelnych instytucji oświatowo-kulturalnych jest rozbudować gmach ten w taki sposób, aby w nim było dosyć miejsca dla wszystkich obywateli i aby każdy członek narodu mógł w nim zająć taką pozycję, do jakiej predysponują go — bez względu na pochodzenie społeczne — jego uzdolnienia umysłowe i właściwości charakteru.

SZKOLNICTWO ZAWODOWE

Wyszczególnienie	Jednostka miary	1945/6	1946/7	1947/8	1948/9 w porównaniu z r. 1938/39
Szkoły dokształcające					
uczniowie	tys. osób	60	78	96	103,6%
klasy	jedn.	1.639	2.089	2.539	105,6%
Centrale wyszkolenia zawodowego					
uczniowie	tys. osób	—	25	42	54
Centrale	jedn.	—	14	24	30
Szkoły rolnicze					
uczniowie	tys. osób	11	21	30	41
klasy	jedn.	400	720	1.100	1.400
Szkoły przemysłowe					
uczniowie	tys. osób	25	30	33	36
klasy	jedn.	790	850	900	930
Szkoły gosp. spółdz. handlowe					
uczniowie	tys. osób	20	24	28	32
szkoły	jedn.	140	160	175	190

Z tabeli tej widać, że w roku 1949 wzrosło znacznie ilość szkół spółdzielczych i rolniczych w porównaniu z latami przedwojennymi.

Zadaniem szkół rolniczych będzie kształcenie kadr rolników należycie przygotowanych do przeobrażeń gospodarczych, które plan przewiduje w dziedzinie produkcji rolnej. Przeobrażenia te polegają będą na uintensywnieniu uprawy rolnej i podniesieniu jej technicznego poziomu przez stosowanie zmechanizowanych narzędzi pracy, na zróżnicowaniu produkcji rolnej przez zwiększenie powierzchni kultur przemysłowych i na silniejszym zaakcentowaniu hodowli bydła.

Zupełną nowością będzie u nas typ szkoły handlu spółdzielczego, co pozostaje w związku z dużą rolą, jaką w nowym układzie społeczno-gospodarczym kraju odegra spółdzielczość w dziedzinie dystrybucji wytworów i doprowadzania ich do konsumenta. Według wytycznych planu „spółdzielczość stanie się dominującym aparatem między wsią a miastem w poszczególnych działach zbytu i zaopatrzenia gospodarstw rolnych. Dysponować ona będzie w końcu 1949 roku zwiększoną siecią punktów handlowych na wsi w granicach około 14.000... W okresie realizacji planu spółdzielczość podwoi ilość detalicznych punktów. Szczególne zadania na odcinku handlu hurtowego przypadną centralom spółdzielczym”.

W dziedzinie szkolnictwa zawodowego plan przewiduje nie tylko znaczne rozbudowanie w porównaniu z latami przedwojennymi, ale także jego zharmonizowanie z nowymi potrzebami życia gospodarczego, celem zapewnienia w przyszłości odpowiedniego dopływu fachowców. Zharmonizowanie to znajdzie wyraz w zorganizowaniu Central Wyszko- lenia Zawodowego, których liczba dojdzie w roku 1949 do 30 — z 54000 uczniów. Plan nie informuje, na jakich zasadach zostaną zorganizowane Centrale i jaka będzie ich pozycja w stosunku do innych typów szkolenia zawodowego. Nie podane

są również powody, dla których szkoły przemysłowe — mimo ogólnej tendencji do rozbudowy szkół zawodowych osiągną pod względem ilości uczniów tylko 75%, a pod względem klas tylko 42,8% stanu w roku 1938/39. W ogóle tablica odnosząca się do oświaty wykazuje poważne luki, z których najważniejszą jest całkowite pominięcie tak ważnej pozycji, jaką stanowi oświata dorosłych, zajmująca się likwidacją analfabetyzmu powstałego podczas 5 1/2 roku okupacji.

SZKOLNICTWO WYŻSZE

W dziedzinie szkolnictwa wyższego wytyczne planu zapowiadają stworzenie warunków, sprzyjających najintensywniejszemu szkoleniu fachowców, kształceniu nowych sił naukowych i odbudowie pracowni naukowych oraz popieraniu badań naukowych, bez względu na natychmiastową użyteczność gospodarczą ich wyników. W szczególności prze-

widziany jest przyrost katedr w szkołach akademickich o 43. W porównaniu z rokiem 1938/39 przyrost katedr akademickich wyniosłby w roku 1949 przeszło 100%, a katedr w szkołach wyższych nieakademickich 140%. Jeszcze większy przyrost przewidziany jest w zakresie pomocniczych sił naukowych, których liczba powinna w roku 1949 wzrosnąć o 559 osób w obu rodzajach szkół wyższych, czyli o blisko 240% w porównaniu z rokiem 1938/39. Ogólna liczba studentów w szkołach akademickich powinna dość w roku 1949 do 53000 a w szkołach wyższych nieakademickich do 5000.

Liczby odnoszące się do szkół wyższych należy przyjąć cum grano salis. Tak znaczne zwiększenie liczby katedr profesorskich i pomocniczych sił naukowych w trzyletnim okresie odbudowy może wywołać uzasadniony niepokój o poziom dydaktyczny szkół wyższych. Tylko przy zastosowaniu pewnych specjalnych środków można by mieć nadzieję, że tak znaczny przyrost ilościowy personelu naukowego nie odbiłyby się niekorzystnie na wartości dydaktycznej i badawczej jego pracy. Najważniejszym z tych środków byłoby takie zmodyfikowanie doboru sił naukowych, aby zarówno dyplomowani jak i niedyplomowani naukowcy in partibus infidelium mogli uzyskać łatwy dostęp do szkół wyższych bez, że tak powiemy, „szykan“ habilitacyjnych. Równie ważną rzeczą byłoby także materialne wyposażenie profesorów i pomocniczych sił naukowych, aby mogli oni całkowicie i wyłącznie oddać się pracom badawczym i dydaktycznym. Wówczas bowiem wielu naukowców zatrudnionych dzisiaj częściowo lub całkowicie w administracji i instytucjach gospodarczych mogłoby wrócić do swych właściwych warsztatów pracy.

Stanisław A. Majewski

Nakładem

**CENTRALNEJ
ŻYDOWSKIEJ
KOMISJI HISTORYCZNEJ**

ukazały się m. i.

DOKUMENTY ZBRODNI MĘCZEŃSTWA

Kraków — 1945. Str. XV+214. Cena zł. 150.—

GUSTA DRAENGER:

PAMIĘTNIK JUSTYNY

Kraków — 1946. Str. 116. Cena zł. 100.—

MICHAŁ M. BORWICZ:

UNIwersytet ZBIROW

Kraków — 1946. Str. 103. Cena zł. 75.—

MICHAŁ M. BORWICZ:

LITERATURA W OBOZIE

Kraków — 1946. Str. 76. Cena zł. 60.—

STEFAN OTWINOWSKI:

WIELKANOC

Kraków — 1946. Str. 91. Cena zł. 60.—

W TRZECIĄ ROCZNICĘ ZAGŁADY GHETTA W KRAKOWIE

Kraków — 1946. Str. 197. Cena zł. 120.—

RÓŻA BAUMINGER:

PRZY PIKRYNIE I TROTYLU

Kraków — 1946. Str. 62. Cena zł. 50.—

CZYMA DWUNASTOLETNI DZIEWCZYNY

Kraków — 1946. Str. 72. Cena zł. 80.—

ALBUM ZDJĘĆ:

ZAGŁADA ŻYDOSTWA POLSKIEGO

Łódź — 1945. Str. 104. Cena zł. 750.—

DOKUMENTY I MATERIAŁY

z czasów okupacji niemieckiej w Polsce. Część I. „OBOZY“

Łódź — 1946. Str. V+335+13. Cena zł. 180.—

JÓZEF KERMISZ:

POWSTANIE W GHETTIE WARSZAWSKIM

(19 kwietnia — 16 maja 1943)

Łódź — 1946. Str. 112. Cena zł. 120.—

LEON WELICZKER:

BRYGADA ŚMIERCI

Łódź — 1946. Str. 133. Cena zł. 100.—

SZYMON DATTNER:

WAŁKA I ZAGŁADA BIAŁOSTOCKIEGO GHETTA

Łódź — 1946. Str. 48. Cena zł. 40.—

Książki do nabycia:

Żydowska Komisja Historyczna,

Łódź, ul. Narutowicza 25

Żydowska Komisja Historyczna,

Kraków, ul. Długa 38

Żydowska Komisja Historyczna,

Katowice, ul. Zabraska 14

oraz we wszystkich księgarniach.

276

*) Por. „Wytyczne i podstawy polskiego planu gospodarczego“ w „Odrodzeniu“ z dnia 13. X., nr 41. W artykule tym znalazło się nieścisłe sformułowanie dotyczące zmiany przewidzianej przez plan w strukturze ludności. Mowa tam była o ilościowym zrównaniu się ludności miejskiej z wiejską. W rzeczywistości wytyczne planu zapowiadają tylko ilościowe zrównanie się ludności czynnej w przemyśle, rzemiośle, handlu i wolnych zawodach — z ludnością czynną w rolnictwie.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

Rozstrzelać Smagacza!

Franek Smagacz nie był z naszej, jedenastej, komblessackiej kompanii, ale był z tej samej podchorążówki, tej pierwszej francuskiej, z Coëtquidan i Guer. Nie umiałbym powiedzieć, czy był z czwartej kompanii czy siódmej, czy może ósmej, to pewna, że w okresie zimy z 1939 na 1940 niczym się szerzej nie wstawili poza rejonem owej kompanii. Zobaczyliśmy go po raz pierwszy owego kwietniowego popołudnia, kiedy przed baraki Coëtquidana zajeżdżały ciężarówka, aby podostawiać do okolicznych pułków świeży podchorążacki wypiek. Zjawili się wtedy podchorążowie z innych kompanii, znani nam lub nieznanym, z wozów sierzani wywoływali nazwiska, aż हुआło na tym bretońskim wznieceniu:

— Podchorąży Ciemior — brygada podhalańska!

— Podchorąży Trocki — brygada pancerna!

— Podchorąży Mycielski — druga dywizja!

— Podchorąży Rosenberg — brygada podhalańska!

Pamiętam jak dziś, że podchorąży Rosenberg się zagapili i sierżant musiał rozpaczliwie tubalnym głosem drzeć się raz jeszcze:

— Podchorąży Rosenberg!

A gdy niewielki, czarny Rosenberg wreszcie odhuknął swe „jestem!“, popatrzył nań z wyrzutem, niechęcią i odrazą. Nie rokował najwidoczniej większych korzyści brygadzie podhalańskiej z faktu przebywania w jej gronie podchorążego Rosenberga. Nie miał racji. Rosenberg doskonale grał w bridża.

Gdzieś po Rosenbergu przyszła kolej na Józia Ziolo; obcałowaliśmy się czule po polsku, albowiem Józio Ziolo szedł aż do drugiej dywizji. Ja jeszcze czekałem swej kolejki, kiedy sierżant zahuczał:

— Podchorąży Smagacz!

I z szeregu wystąpił niewysoki, młodziutki, jasnowłosy i jasnooki chłopaczek. Najwidoczniej nie bardzo wiedział, co dalej robić. Sierżant wskazał mu ręką na wóz. Po chwili podchorąży Smagacz znikł w jego czeluści.

My z Chmielowcem i Ciemiorem z naszej kompanii oraz jeszcze paroma innymi znaleźliśmy się po chwili w tym samym wozie. Nie był to wóz wojskowy, ale zarekwirowana przez wojsko niewielka ciężarówka, buda, blachą naokoło obita. Chmielowiec zapytał mnie jeszcze, co znaczy napis na budzie, a gdy mu przetłumaczyłem, pokręcił głową. Ciemior zrobił jakiś dowcip. Wóz, którym udawaliśmy się do naszych pierwszych oddziałów liniowych, należał, jak o tym świadczyły wymalowane po obu stronach najwyraźniej chępliwie napisy, do „Société anonyme des Abbatoires de Ceunis“ czyli inaczej mówiąc, do rzeźni miejskich w Ceunis.

Ale właśnie wóz rzeźni miejskich w Ceunis ruszył z miejsca wraz ze swym ludzkim i żywym ładunkiem, zachwiał się na rozmożliwej drodze, zadudnił na moście i poszybował w dół drogą ku Guer. W tyle za nami zniknęły baraki Coëtquidana, pocięte żywopłotami kuse poletka bretońskie, zieleniejące świeżą runią owej brzemiennej wiosny i parujące pod niebo w słońcu. Wpadliśmy w szare uliczki Guer, potem wjechaliśmy w jakieś nieznanne, niezapamiętane pola i coś się za nami zamykało powoli a nieodwołalnie. Tedy milczeliśmy, i my, cośmy się znali i ci podchorążowie z innych kompanii, znani nam tylko z twarzy, albo w ogóle nieznanym. I wtedy właśnie nastąpił pierwszy wyczyn podchorążego Smagacza. Oto jakiś kolega niebacznie oparł swą stopę o krawędź smagaczowskiej, jak widać, walizki. Smagacz bowiem rzucił się, jakby siadł na żmiję.

Te... cożeś ty, coże?! Twoja walizka! „Ou qu'tu fourres tes sales pieds?“

Powiedziane to było w pół po ludowemu, w pół po francusku, a wszystko z niezwykłym podnieceniem. Smagacz zazdrosny był o swą własność. Własnością tą była, licha zresztą, stara, zniszczona, cywilna walizka — każą mu ją wyrzucić w oddziale, gdy tylko się z tym zjawi —

pomyśleliśmy zaraz. Ale to była tylko refleksja, bo tymczasem Smagacz kończył:

— Te... łoczyć coś zapaskudził, łoczyć!

Ow bez większych sporów zaczął pucować skażony skraj walizki rękawem własnego munduru. Myśmy spojrzeli po sobie, spojrzeniem, które mówiło: no, w tamtej kompanii to stosunki koleżeńskie były jakieś dziwaczne. Smagacz dostrzegł tę wymianę uśmiechów i zamilkł. Siedział nastrożony i niechętny przez całe trzy godziny jazdy pokrętnymi bretońskimi drożynami, wiodącymi ku miejscu postoju brygady. Gdy wóz, zarekwirowany rzeźni miejskiej w Ceunis, zahamował wreszcie przed frontem osiemnastowiecznego francuskiego chateau, gdzie po żwirze alei przechadzał się tam i sam wartownik z krótkim nowym karabinem i w długiej podhalańskiej opończy, Smagacz wyskoczył pierwszy, odszedł bez słowa pożegnania. Tak, dziwne były manieri w tej jego kompanii.

Potem czekaliśmy, potem meldowaliśmy się generałowi, potem czekaliśmy znowu, potem poroździelano nas jeszcze. Część odsalutowawszy wsiadła do wozów przeznaczonych dla pierwszej, część dla drugiej półbrygady. Do naszego wozu wsiadł Franek Smagacz. Dalej nie mówił nic. Po półgodzinie byliśmy na miejscu. Tu poroździelano nas raz jeszcze, kogo do pierwszego, kogo do drugiego batalionu, kogo do pepanów. Mnie przydzielono do sztabu batalionu. Ale starania rozpoczęte tego wieczoru doprowadziły następnego do pełnego zwycięstwa i odszedłem do drugiej kompanii, do linii. W drugiej kompanii był Romek Ciemior, o czym wiedziałem i dla którego tam poszedłem, ale był także i Franek Smagacz. Powitał mnie mętnym spojrzeniem i przeszedł obojętnie.

— Czemuż ten się jeszcze boczy — zapytałem Romka.

— On się nie boczy, to nie to — tłumaczył Roman — jemu tu będzie ciężko.

I opowiedział, co było. A było tak. Do drugiej kompanii zostali przydzieleni, jeśli dobrze dziś pamiętam, Smagacz, Ciemior i Rosenberg. Ciemior i Rosenberg jako pierwsi zameldowali się kapitanowi, czarnemu krępemu oficerowi. Typowemu polskiemu liniowcowi. Smagacz gdzieś się był zapodział, co, oczywiście, uwadze kapitana nie uszło i przychylnie nastroić go nie mogło. Zniósł to jednak jeszcze — wiadomo, Francja i jej zębny wpływ — gdyby nie to, co nastąpiło potem. Kapitan stał pod murkiem i odbywał odprawę dowódców drużyn, gdy naraz podszedł do niego wolnym krokiem Smagacz i wyciągnawszy przyjaźnie łapę przedstawił się w ten oto sposób:

— To wyście som kapitan Stańczyk? Smagacz jestem!

Kapitan, rzecz jasna, podskoczył, po czym wydał z siebie ryk, żubrze mu podobny. To tak uczono meldować się podchorążego Smagacza? To tak jest w wojsku polskim? To ma się nazywać zameldowanie przydziału? Co sobie podchorąży Smagacz myśli? W pobliskim merostwie drżały małe szybki — nie myte od ostatnich Merowingów — od tego kapitańskiego ryku. Pobladły, drżący, wystraszony, podchorąży Smagacz nie rozumiał. Jego niebieskie oczy błądły zastraszonym. Nie, nie rozumiał. Myślał jak najlepiej, ale nie rozumiał. Zresztą skończyło się na tym ryku. A także na tym, że drużynę przydzielono Smagaczowi w dwa dni później. No i na tym, że miał od początku złą opinię. Kapitan, rozprawiając o zawsze mu miłym temacie zgnilizny francuskiej, cytował teraz stale jaskrawy przykład francuskiego wychowania — Franka Smagacza. Bowiem Smagacz był synem polskiego farmera, czy robotnika, czy górnika z Francji. Wychowany we Francji.

Może nie poznałbym bliżej podchorążego Smagacza, gdyby nie to, że z Rosenbergiem i Ciemiorem dano nas do jednej kabiny okrętowej na „Chenonceau“, płynącym do

Norwegii. Wprawdzie my dwaj z Ciemiorem nie sypialiśmy w niej — głoszone przez nas samych w Coëtquidanie koncepcje „nowej armii“ każały nam spać, czy, jak się mówiło, „śmierdzić“ przy drużynie. Stąd co wieczór po wynyciu się opuszczaliśmy białą kabinę i schodzili w głąb okrętowych czeluści, by ułożyć się przy naszym manszafcie, co zresztą na nim nie robiło zbyt wstrząsającego wrażenia. Po prostu było im ciasniej. Uważali też, że widocznie nam biedakom nie przydzielono kabin. Co wieczór przychodził za to do naszej kajuty niemrawy, nie golony i pogo-



Ksawery Pruszyński

dny Karol Zbyszewski. Jako goniec motocyklowy, w randze starszego strzelca, nie miał pod sobą żadnego manszaftu — więc gramolił się na jedno z opuszczonych łózek. Bardzo mu się nasze pryncypia podobały i zachwalał je głośno:

— Ot, to to, podchorążowie Ciemior i Pruszyński, to rozumiem, nowa armia, z drużyną, zawsze razem. O, gdybyście panowie Rosenberg i Smagacz, poszli za tym przykładem, byłbym sam w kajucie... Jak generał...

Smagacz i Rosenberg milczeli jednak i nie wykazywali żadnych skłonności do bliższego zespolenia się ze swymi drużynami. Ale po południu leżeliśmy często razem i wtedy Smagacz, jakby sobie coś przypominając, zaczynał opowiadać. Smagaczowe opowiadania były nieskładne, urywane, wlokły się i zacięły jak guma wyciągana z jakowychś czeluści, coraz dłuższym i dłuższym tokiem. Przez krągłe okno kabiny zaglądało niebo, coraz bliższe i coraz bardziej północne, wiatr pędził zimno coraz ostrzejsze, jakieś wołania dochodziły z pokładu. Franek opowiadał ni stąd, ni zowąd, nieprzemyślany, jakieś historie dziwne, swym językiem, półfrancuskim — półludowym. Były to bardzo dziwne opowiadania. O domu, o rodzinie, o szkole, o innych chłopach, o Polsce. Jedno tylko pamiętam. Romek Ciemior pytał go, kiedy wyjechał z Polski i czy Polskę pamięta. Franek odpowiedział i powiedział zarazem, co z Polski pamięta. Był rodem z jakiejś małopolskiej wsi pod Jankowicami i kiedyś zimą posłano go, żeby pobiegł do tej Wiśniowej kupić zapałek u Żyda. Było to parę kilometrów, był mróz i Franek nie miał trzewików. To wszystko stwierdzał Franek, ot jako ciekawostkę, bez żadnego komentarzowego sosu i światopoglądowej oprawy. — A że mróz był, powiadał, więcem tak zmrzł, więcem tak zmrzł. Tozembiegł, tozembiegł. — Franek leżał na łóżku, oczy wlepione w ten krągły wykravek bladego nieba, jaki zaglądał oknem do kajuty francuskiego statku, i myśmy leżeli na swoich łózkach z oczyma wlepionymi w ten krągły błąd, i w jakiejś świąty jeszcze bliższym oddaleniem. To opowiadanie o biegu jakimś, w zimę i śnieg, kopnymi drożynami wiejskimi, na bosaka, do jakiejś Wiśniowej po zapałki, było tym jedyнным wykravkiem wspomnienia, w jaki Frankowi Smagaczowi włożyła się w pamięć Polska. Poczuliśmy jakieś cieplejsze uczucia do Franka.

Dwa tygodnie podróży norweskiej przeszły na ogół spokojnie i podchorąży Smagacz nie naraził się więcej kapitanowi. Unikał zresztą niezwy-

kle starannie wszelkiego z nim i innymi oficerami kontaktu: był wyraźnie zastraszony. Z nami właściwie nie szukał go także. Dużo natomiast przesiadywał ze swoją drużyną — też z Francji — ale tu nie umiał utrzymać tzw. autorytetu. Grał z nimi przydługą w karty. Gra w karty z żołnierzami nie leżała w regulaminowych pojęciach kapitana; nie była też ona, w naszym pojęciu, drogą do kontaktu z podkomendnymi. Franek otrzymał znowu jakąś nagannę, tym razem od swego porucznika. Był to pokaźny, postawny oficer, przystojny, o pociągłej twarzy, bardzo kawalerski. Nosił wspaniałe polskie buty i znał na pamięć przepowiednie: „Gdy czarny orzeł znak krzyża splugawi, skrzydła rozwinię złowieszczę“, i z niej czerpał swój wojenny optymizm oraz całość swej wiedzy politycznej. Żałowaliśmy, że Franek nie jest u któregośkolwiek innego dowódcy plutonu, bo z tym to już pasował najmniej. Gdybyż był u Tkacza; albo u Lewickiego, „małego rycerza“; albo z nami u Szaszkiewicza. Przystojny Wyganowski był najgorszy dla Franka przy najlepszej zresztą woli.

Potem lądowaliśmy w Harstadt, na wyspach Lofotach, potem mieliśmy marsze, przerzucania barkami przez fiordy, pierwszą akcję, drugą, pierwsze trupy. Były wsię norweskie rozwałki jak paciorki kolorowe nianizane wokół roztoczy ciemnego fiordu, dziewczki w tych wsiach smukłe jak brzozy, brzozy zaś jasne jak te dziewczki norweskie, tłuste mleko siemmenhalerów, ciepłe domy i wąskie dróżki, na których, jako że był maj późny, rozmakał ostatni śnieg. I wreszcie po jeszcze jednym marszu wyrzuciliśmy nasze plutony w góry, uczepiliśmy się wąskiej krawędzi skał nad fiordem, skąd był ponoć widok, czyli wgląd, na szeroką dolinę w dole, gdzie witała się kolej do Szwecji i nad jeziorem siedzieli Niemcy. Tylko nasz pluton został w dole, nad fiordem, przy dowództwie kompanii. Tamte polazły na grań. Żywność tyrano im pod wierzchy.

Wtedy właśnie przyszła nowa i wielka awantura z Frankiem Smagaczem. Nie byłem jej świadkiem i dowiedziałem się o niej znacznie później, kiedy zaogniła się jeszcze bardziej, ostatecznie. Stało się mianowicie tak: w nocy, rozstawiona na wierzchu i na przedpolu, drużyna Smagacza rozpalila sobie najspokojniej w świecie wielkie ognisko. Widne było ono z daleka; wyobraźcie sobie, że pewnej nocy ktoś sobie taki ogień zakurzy na Kasprowym. Meldowano do sztabu: omal krążownicy angielskie nie sprząły tego punktu artyleria. Po czym okazało się, że Smagacz, zważywszy że była noc, zimno, a do tego wygrzebano w jakiejś chacie ziemniaki, polecił podkomendnym rozpalili sobie najspokojniej ogień. Podwładni nie kazali się prosić; kosówki było pełno i niebawem piękne ognisko na szczytach zaznaczyło dosyć wyraźnie miejsce polskiej placówki. Wyganowski, który sam mógł się spodziewać dobrej wciury, zrugnął Smagacza od ostatnich, aż huk szedł po halach w dole. Odebrał mu dowództwo drużyny i odesłał zameldować się kapitanowi. Smagacz zszedł w dół. Miejscem postoju kapitana była duża zagroda, gdzieśmy poprzedniego dnia złapali dwóch jeńców. Jej żółto malowane ściany odbijały od zagajnika: stodoła i obora wyznaczały obejście. Nawet dla Smagacza nie trudno tam było trafić. Ale Smagacz do tego punktu nigdy nie doszedł. W dwie godziny po tym wydarzeniu nadleciał goniec na motocyklu z melunkiem; kapitan zarządził zbiórki i w pół godziny potem byliśmy już w pochodzie powrotnym drogą zdobytą poprzedniego dnia. Mijaliśmy idących na nasze miejsce strzelców alpejskich w czarnych beretach. Barki, które ich przywiozły, zawiozły teraz nas przez fiord, na nowe pozycje, jeszcze bliższe Narviku. Gdy lądowaliśmy nad ranem, kapitan zrobił przegląd kompanii. Brakowało Franka Smagacza.

— Niemcy go ukatrupili, powiadali pesymiści.

— Zadziała się gdzieś ta lebiega — komentowali przyjaciele.

— No i mamy desertera: oto wychowanie francuskie! — osądził kapitan, który o Francji miał to samo zdanie, co większość oficerów zawodowych naszej armii na Zachodzie.

W parę godzin później przyszedł jednak wydarzenia, które zupełnie przesłoniły zaginięcie Franka. Objęliśmy odcinek i leżeliśmy z głowami zwieszonymi nad domkami Ankenesu, brzożami Nyborgu, fiordem narwickim, portem i znieuchomiałym w dole miastem. Potem przeszliśmy do akcji i mieliśmy kilkunastu zabitych i rannych. Na drużynę liczącą dwunastu miałem sam rannych pięciu. Potem był generał i dekorował, kapelan i spowiadał, kantyniarka z podniosłymi słowami i paru biszkoptami, a potem już dzień w dzień walka, trupy, ranni, trupy, walka. Spaliśmy każdą wolną chwilę, przeważnie nie w nocy, jedliśmy, co i jak się dało, częściej zdobywcze zapasy niemieckie niż nie dostawione nasze, potem było wielkie natarcie na Ankenes i posiłkanie kompanii Zamoyńskiego, i uchwylenie przez Lewickiego Nyborga, zajęcie przez Hitlera Belgii, i śmierć Szelskiego, i przerwanie linii Maginota, i uzupełnienia i pogrzeżenie w Haakvik, i odmarsz na statki. Odjazdowi towarzyszyły głuche wybuchy: to leciały w powietrze urządzenia nadpalonego portu, granitowe tunele kolei do Szwecji i tor ku Kirunie. Potem było znów morze i znowu blade niebo, zagładające do okien naszej kajuty. Leżeliśmy w niej godzinami znowu w czterech. Znowu był z mną Ciemior. Ale miejsce rannego podchorążego Rosenberga zajął jakiś Czech z Legii Cudzoziemskiej, a miejsce Franka Smagacza Józek Natanson. Myśmy już zapomnieli z kretesem o Smagacz.

Stanęliśmy znowu na redzie pod Glasgow, gapiiliśmy się na lotniskowiec, poglądali na zielone czerwem stoki wzgórz szkockich i myśleli, jakby to było pięknie polądować sobie tam na chwilę. Nie wiedzieliśmy, że jeszcze będziemy ich mieli do licha i trochę, a niektórzy na zawsze zaznają gościny szarych szkockich cmentarzy. Naraz od jednego ze statków oderwała się motorówka. Pykając i kołyszając się i rozpruwając spokojne morze ściegiem fal, podjechała aż pod nasz „Sobieski“. W towarzystwie dwóch marynarzy i dwóch angielskich żołnierzy wyszedł na pokład — Franek Smagacz! Znowu nie byłem świadkiem tej końcowej sceny. Powiadomił mnie o tym Józek. Po chwili Ciemior znał już całą historię Smagacza.

Historia była miejscami niejasna, ale w zasadzie dosyć prosta. Smagacz pobłądził w górach i do miejsca postoju kompanii doszedł po jej odmarzu. Nie wiedział, gdzie poszła. Zresztą, gdyby i wiedział, nie mógł wpłynąć przebyć fiordu. Z przystani szedł stateczek do Harstadt, miejsca naszego pierwszego lądowania. Smagacz podążył do Harstadt, jak pies, który straciwszy ślad zawraca za własnym tropem. Tam już nie było Polaków, ale byli Anglicy, Francuzi. Ci przygarnęli Smagacza. Upewnili go, że wojna nie wymaga koniecznego jego bezpośredniego współudziału, czy też że ma na to jeszcze dość czasu, czy to, że żandarmeria sama się po niego zgłosi. Smagacz tedy, jak zeznawał, czekał w porcie. Czekał parę dni, tydzień, drugi tydzień. Na ochotnika pracował w kuchni. Przywykli Francuzi przywykli do niego. Dopiero gdy przyszedł rozkaz załadowania się na statki, z powrotem do Francji, obecność Smagacza wpadła w oczy żandarmerii francuskiej. Przybywszy do Glasgow zaraportowano statkom polskim i w rezultacie tego raportu dwóch żandarmerów pod bagnętami odstawilo podchorążego Smagacza. W areszcie okrętowym siedział właśnie od paru godzin za pospolite opilstwo strzelec Kotas. Bardzo sobie chwalił owe miejsce odosobnienia i opuszczał je niechętnie, ale pułkownik polecił aby deserter siedział samotnie aż do chwili sądu.

To wszystko przyniósł Ciemior. Nie było najmniejszych wątpliwości, że sprawa Smagacza — teraz to już by-

ła „sprawa Smagacza“ — przedstawia się niedobrze. Jakżeż się zresztą miała przedstawiać inaczej i w jakiej armii na świecie przedstawiałaby się lepiej? Chyba w wojsku dowodzonym przez generała Antoniego Słonimskiego, feldmarszałka Witlińca czy generalissimusa Remarque'a. Nam jednak dowodził pułkownik Dec i kapitan Stańczyk, a gdyby dowodził ktokolwiek inny, nie byłoby inaczej. Miałem wtedy nieco wzięcia u moich dowódców, poszedłem do nich w tej sprawie. Pułkownik był w świetnym humorze — właśnie wieczorny komunikat donosił, że aliantów dalej biją jak w kaczy kuper. „A co, a co, śmiały się z nas po wrześniu, teraz mają w czerwcu lepszy wrzesień!“ Kapitan wychylił właśnie trzecią rumkę koniaku dowodząc, w myśl własnego aforyzmu, że dwie pierwsze smakują jak rozgryzioną pluskwa. Dopiero trzecia coś warta. Spróbowałem poruszyć sprawę Smagacza. Dowódcy podnieśli ją z radością:

— Smagacz będzie rozstrzelany jutro — oświadczył pułkownik. — Kiedy tylko dojdziemy do brzegu. Publicznie! Dezercja! To święte dla morale wojska. Podchorąży rozstrzelany — dobrze dla morale żołnierza. Ze jak podchorąży, to tak samo. Dobrze, że z Francji. Będą mieli szkołę na przyszlęci! Jak tylko wyładujemy, mały sądzik i po wszystkich. Dla przykładu! Dla przykładu!

Obaj skoczyli, gdy podniosłem łagodnie obiekcje, ale wdali się w łaskawą i rzeczową dyskusję. Mieli górę w argumentacji. Jeśli Smagacz się nawet i zagubił, to cóż u licha robił dwa tygodnie — nie, trzy tygodnie — w Harstadt? Nie miał czasu dobrać się do swoich? Śmieszne gadanie. A dlaczego oberwał sobie szlify podchorążego, co? (Ten szczegół, nieznamy mi jeszcze, był istotnie obciążający).

Odpowiadałem jak mogłem. Nie znam szczegółu z szlifami: wyjaśnię. Gdyby Smagacz chciał zdezerterować, czy nie wystarczyło mu przejść po prostu do Niemców: albo zostać w Harstadt: w każdym razie nie ładować się na statek. Oto były główne punkty obrony. Były słabe, wiedziałem o tym. Smagacz mógł bać się niewoli niemieckiej, jak bał się wojska. Mógł myśleć, że przemyci się jakoś do Francji i tam zginie w łoku. Dość że odszedł od swego oddziału potem, jak był zawieszony w funkcjach, że było to na froncie, że oddziału swego nie odszukiwał, że zdarł odznaki. Wszystko to podpadało prawnie pod kategorię dezercji, tak samo jak kategoria dezercji prowadziła równą drogą przed pluton egzekucyjny. Co mogłem zrobić?

Nawet kapelan — nie ten nasz, dobry (był na innym statku) — ale generalny brygady, obiecał mi tylko zajęcie się duszą Smagacza, a nie przedłużeniem jego ziemskiego żywota. Uzyskałem tylko możność porozumienia się z oskarżonym. Wartownicy wpuścili mnie do Franka. Przywitał się ze mną wystraszone i serdeczne. Poprosił jeść. Jadł ze smakiem, wciął. Zobaczyłem, że nie orientuje się w sytuacji.

Odruchowo przeszedłem na ty. On się nie zdziwił wcale.

— Franek — pytałem — co ty narobił? Gdzieś był?

Niebieskie, niewinne oczy, patrzyły znad grubej pajdy wżeranego chleba — W Harstadt. Z taborami. Avec les Français.

Wiedziałem to wszystko. Ale chciałem wiedzieć coś innego:

— Franek — pytałem — dlaczego nie poszedł do kapitana, kiedy cię Wyganowski tam wysłał? Dlaczego?

W półcieniu aresztu oczy Franka były niezwykle błękitne. Były dziecinnie niebieskie.

— Poszedłem — trząsł głową — poszedłem. Ale nie zabłądziłem.

Oczy wytrzeszczały się niebieską dziecięcą szczerością. Tak zawsze patrzy dziecko, kiedy wytrwale kłamię — Franek — powiedziałem — nieprawda. Nieprawda (I naraz przypomniałszy sobie, jak do żołnierzy z Francji trafiało się najlepiej mówiących po francusku, począłem mówić w tym języku). Tu mens. C'est pas vrai. Wiesz, że to nieprawda. Z góry do tej farmy, gdzie stał kapitan, była prosta droga. Po prostu w dół, potem droga. Ty nie mogłeś nie trafić. Coś robił? Nie poszedł do kapitana!

Teraz Smagacz nie patrzył mi w oczy. Utkwił je gdzieś w gwintach spajających żelazne belkowania okrętowe. Niepewnie odpowiedział:

— Naprawdę poszedłem... Ja na-

prawdę poszedłem... Mais... je l'ai fait très lentement. Bardzo powoli...

Rozumiałem.

— Zatrzymywałeś się po drodze?

— Tak.

— Siadałeś?

Klwnął głową, że siadał.

— Przecie nie byłeś zmęczony. Stał się cała noc. Czemuś stawał?

Nie odwracając głowy powiedział:

— Bojałem się. Strasznie się bo-

jałem.

— Kogo? Czego?

— Pono kopitono. Un taki straszny. Krzyczy.

Teraz rozumiałem. To, co było u Franka, to był rodzaj nerwowego szoku. Nerwowego szoku połączonego z pewnym przytępieniem inteligencji. Nie. Na pewno Franek nie był orłem. Kto widział tak się prezentować kapitanowi wtedy, po przydziale? Rozpalać ognisko na linii? Tak. Z inteligencją u Franka było kiepsko. Ale poza tym był zastraszone. Ten huk obcasów i hukanie komend, te krzyki, rozkazy wydawane podniesionym głosem, ten niezrozumiały ceremoniał, postawa porucznika, kapitan, to wszystko było dla Franka nowym, przerażającym i obcym światem. Bał się go, straszliwie się go bał. Przyszła ta nowa awantura z ogniskiem i Franek schodził w dół, ku kapitańskiej farmie, widnej z dala. Schodził w głębokim przerażeniu. Bał się. Przypomniał mi się ów dzień, niedaleki, frankowego zaginięcia, bardzo był jasny i słoneczny, nawet koszułe pozdejmowaliśmy i Franek właśnie wtedy musiał schodzić w dół po stożku, może nas nawet widział na polanie. Musiał iść wolno, coraz wolniej, ślądać, przystawać, medytować. Pograżał się zapewne w takich medytacjach, jak wtedy w kajucie na „Chenonceau“. Dzieciinnie, głupio, opóźniał srogą moment stawienia się przed huczącą kapitańską majestat. Może zobaczył wrzeszczące, że odchodzą, i mimowiednie nie starał się dogonić. Tak. Franek nie zdezerterował przed walką, akcją, czy Niemcami. Dzieciinnie bał się swoich dowódców.

— Czemuś odpruł naszywki podchorążego?

— Jo? Jo nićcego nie odpruwałek!

— Ale ich nie masz?

— Bo na moje kurto rozlały Francuzi zupę, to mi dały drugom...

To było wyjaśnienie, ale obawiałem się, że nie trafi do przekonania żadnego wojskowego sądu.

— I wsiadłeś na statek?

— Jak inne wsiadali, tożem wsiadł. Siedzieliśmy chwilę w milczeniu.

Na dworze nastawać musiał wieczór, bo w areszcie stawało się całkiem ciemno. Zajrzałem przez otwór w drzwiach. Domy w Greenock rozpały się słabymi światełkami.

— Franek — powiedziałem — a wiesz, że to ciężkie przestępstwo?

Ruszył bezradnie ramionami. Zapatrzył się w ścianę, tuż przed nim. Po czym:

— Jo wim. No to co ze bende siedzioł? Siedzioł nie jest tak źle. I dwa tygodnie mogem posiedzieć!

— Franek, ale to nie dwa tygodnie.

— To i trzy i styry posiedzeł! Coże to. Cicho, jeść przynoszum, tyło, że samemu trocha — urwał, i popatrzył na mnie — ale bedziesz do mnie zaglundał. Choć raz w dzień. Raz i dwa? Bedziesz?

Teraz ja zapatrzyłem się w ścianę.

— Franek — rzekłem znowu — to nie siedzenie. Czy rozumiesz, co zrobił? Dezercja! Désertion! Tu es un déserteur. Selon la loi militaire tu es un déserteur!

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się:

— Voyons, voyons, sans blague!

— Mais c'est pas une blague — krzyczałem i stwierdziłem naraz z ulgą, że łatwiej mi jest mówić mu to wszystko po francusku. Jego poprawna francuszczyzna nie krępowała mnie tak jak owa bezradna, chłopkoemigrancka polskość. — To zupełnie poważne. Nie zdajesz sobie nawet sprawy jak poważne! Opuściłeś oddział na froncie...

Zerwał się w oburzeniu:

— Nie jo! Nie jo! Une poszł!

Wzruszyłem ramionami. Siękałem teraz:

— ...nie dołączyłeś! Gdzieś się pętał trzy tygodnie? Dostawili cię żandarmi! Franek, Franek, to wszystko jest gruba rzecz! C'est pas une blague une désertion...

— C'est pas une désertion qu' je dis! C'est pas une désertion! C'est pas!

— Franek, zrozum, niikt z nas, nie

ja, niikt z nas nie chce tobie coś złego zrobić. Ale pamiętaj, kapitan. Pułkownik! Les règles sont les règles!

— J'connais les règles! Suis pas un déserteur! F... moi l'camp! Ah, ça voyons donc, f... moi l'camp!

Wyszedłem i w czterech, jeszcze z Józkiem Natansonem i Rostrowskim, odbyliśmy długą naradę.

Przez okienko w drzwiach mogliśmy zobaczyć, że Franek. Zjadł z apetytem kolację, leżał na pryczy, nucił coś sobie. Nie bardzo było wiadomym, czy moje słowa dotarły do jego świadomości i jak głęboko. Umysliliśmy, że nie będe do niego chodził.

Zdaliśmy to na kapelana. Był to fatalny pomysł, właściwie mogliśmy się tego spodziewać. Wylał go szybciej niż mnie. Siedział teraz nadejty, nieufny. Nawet Ciemiór nie miał doń dostępu.

Wieczorny komunikat radiowy mówił o próbach naczelnego francuskiego dowództwa załatania wyrwy pod Abbéville, i jeszcze gdzieś w Wo-

gezach, i jeszcze. Ale w niemieckim komunikacie było, że czolgi niemieckie ominęły Rennes, a inne spływają doliną Rodanu. I wiedzieliśmy, nauczni doświadczeniem ostatnich tygodni, że jutrzejszy francuski komunikat już będzie mówił o próbach obrony Rennes i o zaciętych walkach w dolinie górnej Rodanu. I wiedzieliśmy jeszcze, że tej obrony nie będzie wcale, a te zacięte walki będą istnieć tylko w słowach wieczornego komunikatu.

W wydarzeniach dwóch następnych dni zapomniałem zupełnie o Smagacu. Pułkownik słuchał radia i mówił: „Nie, a nie mówiłem, ot mi Franca“; kapitan słuchał radia i opowiadał, jak to było we wrześniu. Onie mieli, bezradni żołnierze snuli się po pokładzie. Była piękna pogoda i statek niósł nas zwolna ku brzegom naszych przeznaczeń. Woda wtaczała się w głąb Francji każdą godziną i dniem — my zbliżaliśmy się ku jej brzegom równie nieuchronnym pochodem. Nareszcie, 14 czerwca byliśmy w Brest, żegnanym przez nas w kwietniu. To samo moło, to samo miasto pnie się kamienicami ku górze. W dokach rozbralerano na szczele rdzawy kadłub pancernika „Waldeck-Rousseau“ i imię jednego z najklasyczniejszych premierów francuskiej republiki oddzielał właśnie robotnicy wielkimi obcęgami. Nie wiem czemu robiło się smutno, choć nigdy nie miałem sympatii do Waldeck-Rousseau. Statek przybił do mola, przycumowano go, zaczęliśmy wysiadać. Oficerowie byli jacyś nerwowi. Wysiadłem jeden z pierwszych. Zasiadłem do portowej kafejki „Pod Diabłem Morskim“. Była prawie pusta. Plakat przekreślony trójbarwną wstęgą nawoływał Francję pod broń, przypominał naraz, w jednym zdaniu, Joannę d'Arc, Vercingetorixa, Komitet Ocalenia Publicznego i rok 1914. — „Trop pompeux pour les Français!“ — zauważył ktoś smutno. Pytałem o ostatnie nowiny. — Nie było tego w radio w południe — mówiła bufetowa — ale dziś rano tam ci weszli do Paryża. „Oui, monsieur, c'est ainsi. On est joliment fichu, hein?“

Przezorny pułkownik Chłusewicz, jeden jedyny w całej brygadzie, połapał się w sytuacji. Tak na swym statku marudził, zwlekał, nie rozumiał Francuzów, tak długo zarządzał zbiorą, sprawdzał obecność, polecał szukać jakis zagubiony chlebak, jakąś zostawioną (pewno w Narwiku) maskę gazową, aż dopiął swego strategicznego celu. Nie wysiadł ze swym wojskiem, zanocował na statku, zmarudził i następnego dnia, a po tym następnym dniu już było po wszystkim, bo kapitanat portu przestał dawać rozkazy, a na statek wwalili się Kanadyjczycy, hurmem, wobec armistice'u, wyrzucający do Anglii. Oddziały Chłusewicza były zatem jedyną częścią brygady, jaka dopłynęła w spokoju do angielskich brzegów.

Wszystkie inne wyładowały się i mój też. Chłusewicz na Francuzów nie kłął, ale też ich nie posłuchał; inni dowódcy Francuzów kleli, ale słuchali ich jak psy trąby. Niewiele brakowało, a w rozgardiaszu wysiadaną zapomniał by o Smagacu. Myśmy nawet myśleli, czy to nie lepiej. Ale każdej chwili mogli nadlecieć Niemcy i zrabować port z powietrza, a w nim „Sobieskiego“, a w areszcie „Sobieskiego“ — Smagacza. Uprowadził nas w tym zresztą szef kompanii; przypomniał kapitanowi. Ten się zachnął; tylko jeszcze tego Smagacza było trzeba w ten sądny dzień upadku Pa-

ryża! — Oddać go żandarmom! — zakreutował. Posłusznie szef przypominał, że żandarmi są na innym statku. — Wypuścić go, do cholery, niech dołączy do drużyny, ale bez karabinu. Drużynowy jest za niego odpowiedzialny głową! I żeby mi się nie pętał przed oczyma! — To zresztą było też życzeniem podchorążego Smagacza.

Wozyabrały nas na Brest, na jakieś pola porośnięte gęstą, czerwcową trawą, jakże miłą i swoją po dniach okrętowego pokładu i tamtych, na śniegach, granitach i mchach Norwegii. Na drugi dzień zaczął się jakiś marsz, nie wiadomo kędy i po co. Potem pociąg; potem znowu marsz. Szliśmy rzędem, jeden za drugim.

przy rowach, słońce prażyło coraz silniej, wiadomości były rzadkie, niejaone i bardzo złe. Naastroje jeszcze gorsze. Samoloty niemieckie przelatywały nad nami nisko, nisko, ale nie ruszały nas. Kapitan szedł ponury, ochrypli. A jeszcze na domiar złego zawadzał mu ten Smagacz. Szedł, prawda, przy drużynie; nawet nie próbował uciekać. Szli inni, szedł on. Mógł skoczyć do byle rowu, za byle żywoptot — Bóg widzi, ile ich było!

Nie skoczył. Szedł. Za to jego drużyna dygotała ze złości. Oto Smagacz szedł bez karabinu. W czerwcu, w marszu, to było wiele. W dodatku karabin Smagacza niósł po kolei jeden z jego byłych podwładnych. Ten, co niósł, nie był tym zgoła zachwycony i kłął w głos, a przy każdej zmianie tragarza wybuchały głośne klótnie.

W kłęsce dyscyplina się rozluźnia. Okazywało się to dobitnie z racji tego smagaczowego karabinu. Cóż zaś było robić? Taki był rozkaz samego kapitana.

Po południu wylegiwaliśmy się przed marszem nocnym. Przy odmarzu kapitan podjął decyzję:

— Oddać Smagaczowi karabin! Ale bez ładunków!

Odtąd Smagacz szedł z karabinem, tyle tylko, że na końcu, nie na początku drużyny. Szedł milczący, wytrzymały, spokojny. Inni kleli, pomstowali, złościłi się. Franek Smagacz szedł po chłopku cierpliwym i zamilkłym. Szliśmy całą noc, aż do rana, gdzieś do jedenastej. Dano nam postój w jakiejś farmie. Inne baony były w pobliżu. Kwaterna generalska była w zamku Combourg, gdzie ongi narodził się Chateaubriand. Dobra nasza — myślałem; tłumaczyłem tuż przed wojną Maurois o Chateaubriandzie; było tam wiele o Combourg; zobaczę to miejsce. Farmer miał rower i zdawało się, że marzenie o Combourg się spełni. Spełniło się jednak co innego. W pół godziny po przyjeździe na postój poderwano nas znowu do marszu. Kapitan otrzymał rozkazy ze sztabu i był jakiś nerwowy. Przeszliśmy parę kilometrów w spokoju, znowu zaczęło praczyć słońce. Chłopi we wsi chowali się do domów na nasz widok. — Myśla, że to już Niemcy — odgadł ktoś w szeregu. Potem skręciliśmy na inną drogę. Musieliśmy przehodzić bardzo niedawno Francuzi, bo w rowach leżały porzucone karabiny, plecaki, chlebak, hełmy; plecaki były jeszcze opchane zawartością, niikt nie zdążył ich wypatroszyć. Doszliśmy tak do skrzyżowania i nadleciał goniec motocyklowy. — Z tamtego kierunku też są już Niemcy — powiedział.

Miasteczko Saint Dominique de Bretagne, do któregośmy doszli, było wyludnione i nieme. Ale gdy nasza kolumna weszła na rynek, zarolilo się od mundurów, bo każdy z oddziałów rozchodził się w miejscu. Nim do nas doszły rozkazy, widzieliśmy już, co jest. Jesteśmy osaczeni; mamy przedzierać się niewielkimi grupkami czy w pojedynkę; z obu stron wzięły nas w swe kleszcze kolumny zmotoryzowane, prace co się ze wschodu na zachód, by jak najszybciej uchwylić atlantyckie porty Bretanii. Myśmy byli wzięci w nożyce takich dwóch kolumn. Ale one nie kwapiły się do likwidacji jakichś luźnych oddziałów piechoty i dopiero po paru godzinach mogły się tym zająć. Ze sztabu dobiegł nas tedy rozkaz demobilizacyjny — kto chce, idzie do domu, kto chce, walczy dalej. Potem ktoś na rynku Saint Dominique zdobył jakąś ciężarówkę i pakowano się do niej bezładnie, potem nadjechała niebezpiecznie inna ciężarówka i nie mniej bezładnie pakowali się do niej inni. Potem wyszli z kafejki jacyś opici winem maruderzy francuscy, zwęchali się z naszymi żołnierzami i razem poszli pić. Potem nasi z Francji zaczęli pytać, czy można już iść do

domów, na własną rękę. I z rynku z powrotem ku drogom wyciekaly bure strunienie żołnierskie, ale już nie w ordynku, jak przedtem, tylko pojedynczymi kroplami, soplami, zaciekami. Na osobno i grupami. Był rozkaz, by kierować się na południe, ale oni szli wszędzie. Dowódcy patrzyli na to bezradni.

Po jakiejś chwili przy kapitanie zostało nas może z piętnastu. Mój porucznik, my z Ciemiorem, kucharz, sierżant-szef, jeden z kancelarii, chłopcy z mojej drużyny — niewiele ponadto. Rynek wyszczał się już z Polusów. Stawał się tak samo grobowo milczący i czekający w słonecznym południu czerwcowe, jak przed naszym wejściem. W nas samych stawała się jakaś pustka. Nie było Francji, nie było już wojny, nie było już i naszej podhalańskiej, narwickiej brygady, był tylko ten nieubiegany, iście wrześnieowy czerwiec, i te puste drogi Francji, i te wymarle oczekiwaniem mieściny bretońskiej.

Kapitan postanowił iść na południe, w kierunku Nantes. Poszliśmy jakąś drogą połą na przelaj. Była krótsza i szczęśliwsza, bo spotkaliśmy cywilną ciężarówkę i ta podwiozła nas przez las jakieś trzy czy cztery kilometry do szosy. Poszliśmy nią teraz i szliśmy może ze dwie godziny. Ale byliśmy zmęczeni poprzednim marszem, ci z kancelarii byli starszawi i nie do chodu, toteż koło trzeciej kapitan zarządził postój. Odeszliśmy nieco w bok od drogi i usiedliśmy. Koło nas co kilka minut przepływała masa żołnierska. Był wśród niej Francuzi, nasi, mundury khaki i błękitne, nasi z drugiej półbrygady i z pierwszej, jacyś gończy sztabowi, jacyś, których trudno było rozoznać, bo nie mieli ni odznak, ni czapek nawet. Jedni wlekli nogami zmęczeni, drudzy mieli rozchełstane mundury u szyi, spoczone, czerwone twarze, może od słońca, może od wina. Milczeli, wołali, śpiewali, kleli, i był to jakiś tragiczny festyn. Mignęły się nam naraz znajome jakby twarze. — Oo, patrzajcie, to nasz kapitan! Panie kapitanie, a kiedy zbiorka? Hoho, nie ma już zbiorok! Fini! — Kapitan ruszył się ku nim, ale już owe twarze zwały się z innymi, już szli inni, nieznani, może z pierwszej, a może z trzeciej kompanii, a może nawet wcale nie nasi. Siedliśmy znowu w milczeniu. Porucznik zauważył coś tylko o Francji, kapitan dołożył swoje, myśmy milczeli. Stawało się mniej gorąco i myśleliśmy, że pod wieczór dobrze będzie nam ruszyć i że przez noc — był księżyc — zajdzie się daleko. Może za Plélan. Może aż za Rouvres. Tymczasem fala ludzka płynęła dalej szosą, dalej szły krzyki. — Porzucili wszystko, ani jeden nie nosi karabinu, ech ta Francja! — zauważył porucznik. Odruchowo poszliśmy oczyma po drodze. Tak, porucznik miał rację. Karabiny tych ludzi dawno już utkwily gdzieś w rowie. — Nie! — zatrzymał się nagle wzrok: — nie wszyscy! Razem z Ciemiorem zauważyliśmy naraz idącego skrajem drogi żołnierza. Musiał być z brygady i miał na pasie karabin. Szedł samotnie. Poznaliśmy naraz podchorążego Smagacza.

— O, to ten Smagacz — powiedział bez respektu jeden z kancelarii.

— Smagacz, Smagacz! — zaczęto wołać.

Franek Smagacz odwrócił się od drogi, dostrzegł nas, i oczy zadrgały mu niepokojem. Co jeszcze od niego chcą? Stał niezdecydowany. Kapitan nie mówił nic, patrzył się tylko. Milczenie przerwał nagle Ciemiór, wołając szybko, jakby sobie coś naraz przypomniał:

— Panie kapitanie! Najlepszy moment! Ostatnia chwila! Rozstrzelać Smagacza! Dla przykładu! Dla przykładu! Świetne dla morale żołnierza! Dla przykładu!

Kapitan nie powiedział nic, jakby nie słyszał ani słowa Ciemióra, ani nagłego rechotu podkomendnych. Siedział chmurny i zły. Ale Smagacza zdjął naraz nowy skurcz strachu. Skręcił w miejscu; przeszedł na drugą, dalszą od nas stronę drogi, wmięsał się jakby z ulgą w tłum maruderów francuskich. Posłyszeliśmy głosy wzywające go, by rzucił karabin, żeby robił „comme les autres“.

A potem widzieliśmy jeszcze jasne, bardzo jasne, takie niefrancuskie, włosy Franka, jego głowę — i luźny karabinu sterzącą mu dalej zza pleców i tak nam znikł po chwili w tłumie, w krzykach i kurzu na tej drodze czerwcowej, bretońskiej.

Ksawery Pruszyński

JANINA PRĘGERÓWNA

Humor w więzach czasu i przestrzeni

Poematem nazwał Gogol swoją po- wieść satyryczną*). Nie bez racji. Jedną z nich jest wielka rola, jaką odgrywa w utworze język (pracował nad nim pisarz wiele i długo), odznac- czający się dążeniem do wielkiej wierności wobec przedmiotu, cieni- ujący wszystkie półtony gałgaństwa. Język polski do tej funkcji mało się nadaje, ma inny charakter i utwór z konieczności wiele traci wraz z ję- zykami oryginału. Często rezultat „transplantacji” jest negatywny, zaś przyjęcie dzieła przez czytelnika pol- skiego obojętne.

Inne jeszcze okoliczności przyczy- niąją się do tej obojętności: odległość historyczna przedstawionych stosun- ków od współczesnego czytelnika pol- skiego, który nie potrafi odtworzyć so- bie psychicznej sytuacji i świata utworu. Dzisiejszy dwudziestoletni młodzie- niec z pewnością odleglejszy jest od Rosji lat czterdziestych wieku ubie- głego, niż od antypodów. Świat ten wydaje mu się tak odrębny, że nie budzi nawet zainteresowania. — Nie ma warunków reakcji psychicznej — i komizm się nie wywołuje.

Stąd recenzja powinna zacząć od informacji.

W piśmiennictwie rosyjskim „Mart- we dusze” są arcydziełem satyry i hu- moru, pełnego głębokiego znaczenia. W historii tej literatury stanowią one (wraz z właśnie wspomnianymi i komediami Gogola) moment naro- dzin kierunku realistycznego, który kontynuowali i rozwijali tacy pisarze jak Turgeniew i Tolstoj. Otwartymi przez Gogola śluzami popłynęła rzeka wielkiej prozy rosyjskiej. On był pio- nierem na tej drodze: powieść — czy poemat, jak chce autor — ukazała się w roku 1842 (pisana od 1835) — od razu przekraczając szablony roman- owo-gogolowskie, Gogol pierwszy odważył się wprowadzić do sanktuarium litera- tury był codzienny i pokazać czytel- nikowi, rozczuliwając w pisanych podniosłym stylem romantycznych opowieściach — bez ozdoby zwyczaj- nie szczegółliki fizycznego i psychicz- nego bytu ludzi rosyjskich. Był to śmiały krok na nowej drodze, który w wychowanych w tradycyjnym gu- ście kołach literackich wyrobił pisa- rzowi opinię malarza plugawstwa. Op- nia ta towarzyszyła zresztą całej szkole nie wyłączając największych jej, wspomnianych nazwisk. Tak było w sferach reakcji kulturalno-poli- tycznej (wcale potężnych w Rosji carskiej), które wytrwale konserwo- wały z pokolenia na pokolenie prze- kleństwa i złorzeczenia, rzucając na głowy pisarzy postępowego kierun- ku. — W kołach przodujących roz- wojowi kultury rosyjskiej oceniono rychło wielkie znaczenie Gogola (zo- stał odkryty przez Biełińskiego, w dalszym ciągu komentowany przez Czernyszewskiego — i uznany za ojca znakomitej szkoły naturalistycz- nej przez działających później kry- tyków i historyków literatury).

Historyczne zatem znaczenie tej twórczości polega na wprowadzeniu realizmu do literatury rosyjskiej. In- dywidualnie zaś najwybitniejszą jej cechą jest humor. Jakość tego humo- ru jest głównym problemem twórc- zości Gogola.

Nie mając zamiaru wyliczać wedle podręcznika teorii literatury — przy- pomnę przecie kilka postaw psychi- cznych, z których rodzi się humor. Może być humor zwycięski (Conrad), może być humor tanim kosztem za- bawy ucieszonej ze świata (Krasicki), humor kłeski (przeważa w literatu- rze rosyjskiej) — jego odmiana tzw. wisielczy humor — i wreszcie hu- mor absurdu, może smutniejszy od humoru kłeski (humor Polski szla- checkiej z przełomu XVII wieku na XVIII — i Polski współczesnej...).

Humor Gogola stoi najbliższej hu- moru kłeski.

Może być humor ponad czasem i przestrzenią: Plauta, Fredry — try- skający śmiech, wyzwolony żywioł; i humor związany z czasem, z myślą, z ludzką piekącą refleksją; humor subtelny i zropanzony — czepiający się faktów drobnych, podłych, nędz- nych — Juwenal, Gogol... Ten nie jest poza czasem i poza konkretną rzeczywistością swojej epoki... A jed- nak go rozumiemy. — Gdyż jest tak głęboko ludzki.

Humor Gogola — to dosyć ponury humor groteski pisanej nader sub- telnie i z wielkim spokojem. — Współ- czesny czytelnik, wychowany na Wie- chu, Szczepkach i Tońkach, nie reaguje często na jego finezję — nie wie, czego od niego chce. Ale to sprawa kultury szerokich warstw czytelnicy.

Specjalną dziedzinę sztuki komicz- nej stanowi dialog. Mistrzem jego jest Gogol, nie mniejszym od tak popu- larnych (częściej wulgarnych) następ- ców. Jest to humor naiwny — non- sensowne rozważania, przedstawiają- ce w bardzo ujemnym świetle psy- chikę rozmówców, ta szczególna mie- szanina „gadania po próżnicy” i spry- tu. Osoby, produkujące się w tym ro- dzaju, pochodzą zazwyczaj ze sfer niekulturalnych — są to chłopci, woź- nice, służba i niżsi urzędnicy. Niż- szych urzędników w Rosji carskiej, to był szczególnie gatunek człowieka: prymi- tywny, stanowiący przedmiot wiecz- nej satyry, chciwy i wzduszający li- tość swoją żalosną egzystencją; po- stać uwieczniona wielokrotnie w li- teraturze (od biednego Eugeniusza z „Jeźdźca Miedzianego” począwszy — na nieszczytnym bohaterze „Szymelu” skończywszy). Ale Gogol nie ograni- cza się do tej „socyjalnie ułatwionej” humoreski. Obok świetnych rozmów stangreta z lokajem (pierwsza scena powieści), tegoż stangreta z końmi, ze- zwierzęciem umysłowo obywatelki

ziemskiej Koroboczki (Koszalki — nazwisko to raczej wymaga tłuma- czenia) z niekrepującym się wobec niej dworskością bohaterem poematu — podziwiamy „skromnie-przewrot- ny” kunszt humorysty w dialogu dam wielkiego świata powiatowej stolicy. Nie ma tam nic z szarży i szablonu „żon modnych” — uderza obiektywna skromność fotografa-obszernika, świeżość psychologiczna.

Od tego gatunku humoru, posiadają- cego specyficzny wyraz językowy i na ogół zawsze łatwiej dostępnego dla czytelnika — głębsza jest war- stwa humoru charakterów. A poza tym wreszcie, na dnie, tragiczny, ironi- czny i bolesny humor wobec ustroju całego ówczesnego życia rosyjskiego, satyra na jego moralność.

„Martwe dusze” jest to historia pewnego nader solidnie wyglądające- go, domniemanego obywatela ziem- skiego Czyczykowa, który przyjeżdża do miasta powiatowego, zdobywa za- ufanie wszystkich figur świata urzęd- niczego i okolicznych ziemian, składa im wizyty i przy tej okazji załatwia swoje tajemnicze interesy. Ta kanwa pozwoliła autorowi przedstawić sze- reg nieporównanych typów z owego świata, typów godnych stanąć obok molierowskich, jako zawstydzające okazy schorzeń ludzkiej psychiki. Ziemianka Koroboczka i jej dwór, zatwardziała w głupocie, chciwości i obżarstwie „radczyni kolejalna”, nieodparcie zwierzęca w swojej upar- tej, posagowej niemal tepocie. Po przeczytaniu „poematu” zostaje w pa- mięci czytelnika jak jakiś potworko- waty totem, który spotkany przy drodze obudził długotrwałe zdumie- nie. Bezczylny, przekraczający granicę wyobrażenia i zupełnie normalnie, przekonująco prawdziwy „chuli- gan” Nozdriew, „ścicie nieprzewyż- szalny” reprezentant swojego typu. Żaloszny, superlatywny — jeśli się można tak wyrazić — skąpiec Plu- szkin, tak odrębny od Harpagona, a tak klasyczny. Obraz tego ską- pstwa — rozpadającego się w okruszy- ny i pokrytego pleśnią starości — jest niezapomniany w prawdziwie psycholo- gicznej, choć już pozaludzki... Wresz- cie sam Czyczykow, „niewinny” afe- rzysta, tak doskonały wytwór panu- jącej anestezji moralnej, że ten łaj- dak może się uważać za uczciwego — jak w s z y s c y — człowieka, łajdak wytrwały z uporem godnym lepszej sprawy; w karierze swojej wielo- krotnie spychany na dno i za każ- dym razem toczący na nowo swoją kulę nawozu — pod górę! — żuk gnojaka.

Typy przechodzą u Gogola w grot- eskę, nie przestając być ludźmi z nor- malnego świata, najcodzienniejszego zdarzenia...

W sposób genialny splótł pisarz

w swoim utworze fantastykę z praw- dą nędzną i zastraszącą, z prawdą, której nikt się nie poważy zaprze- czyć... Jest to wybitna, szczególna cecha jego humoru, jego odrębnej sztuki.

Jest to nieco groźny humor bajek dzieciennych, które tak zachwycają, ponieważ są straszne: wszyscy ludzie są w nich podobni do zwierząt...

Psychika Koroboczek, Nozdriewów, Czyczyków może być dla czytel- nika z dzisiejszego pokolenia, mają- cego bardzo mgliste wyobrażenie o Rosji sprzed przewrotu październi- kowego — pouczającym objaśnie- niem, skąd zrodziła się rewolucja. Do wielu rzeczy można podejść z właściwego punktu widzenia — jeśli się zechce zrozumieć trochę te procesy psychiczne, które poprze- dzily dzień dzisiejszy. Wszyscy oczy- wiście wiedzą, co to jest caryzm, nie- wola absolutna, kapryśna autokra- cja, znają słowa i pojęcia: ucisk, nie- ludzkie położenie chłopów pańszczy- żnianego, bunt społecznej myśli euro- pejskiej w tej Rosji carsko-tatarskiej, zamachy i egzekucje bohaterów... Mało kto jednak wyobraża sobie dziś tę codzienność najszerszych warstw, życie zbudowane na spowszedniałej amoralności i zgniliznie — i to życie kołosa państwowego; mało kto so- bie dziś przedstawia stan moralno- ści jednostki i rodziny w tym pro- sperującym bez przeszkód amoralny u- kładzie. Obraz tych zwyrodnień, które przestały być dostrzegane i sta- ły się normalne dla formy życia w Rosji carskiej, stawia nam przed oczy „poemat” Gogola. On nam poka- zuje to, czemu nie wolno było nadal pozwolić istnieć. Znamienne: autor, który gorąco kochał kraj i był pa- triotą a nawet nacionalistą — czyni bohaterem poematu łajdaka jako przedstawiciela przeciętnej prawdy psychicznej swojego społeczeństwa.

Rosja Gogolowska, — to kraj idio- tów, wydrwigroszów i łodziei. Nie- ludzka vegetacja, sam byt fizjologi- czny, powolność życia, które się roz- łązi, dając nie wiadomo dokąd, nie- zdolność jakiegokolwiek dokonania, doko- nania czegokolwiek — obok zadzi- wiających wyczynów gałgaństwa, łapownictwa. Ludzie, których wy- jaśnia „problematyka” ich tuszy i żołądka. Unizoność wobec pienią- dza, skrajne upodlenie wobec prze- mocy policji nad jakąkolwiek pró- bą myśli własnej — płaskość i za- dowolenie z takich warunków egzy- stencji.

Obraz takiej Rosji budzi jednak w poecie — trzeba tak nazwać Gogo- la — paradoksalną, gorącą miłość swojego narodu. Apostrofy liryczne wyrażają jej patos. Najznamienit- szym jego wyrazem jest słynny opis pędzącej, symbolicznej „trojki” rosyj-

skiej, którym kończy się powieść. Nie- mniej wymowne są słowa zachwytu poświęcone mowie rosyjskiej: „Nie ma (w innych językach) słowa, które by tak zamasyście, dziarsko wyrwało się z samego serca, które by kipiło i drgało takim życiem, jak trafnie po- wiedziane słowo rosyjskie”.

Połączenie przenikliwej, nieustra- szonej krytyki i miłości dla rosyj- skiego bytu, życia, człowieka — stwa- rza dzieło o filizonomii nader swoistej — i wielkiej wartości artystycznej.

Satyre swoją pisał Gogol również jako autokrytykę — przynajmniej tak wyznawał — ale któryż pisarz nie po- wie tego samego o swoich źródłach twórczych. W pewnej mierze jest tak u każdego. Wreszcie należy zrobić jeszcze jedno zastrzeżenie co do cha- rakteru satyry. Pisząc swoje wielkie dzieło Gogol nie miał zamiaru poru- szać problematyki społecznej — to ona, „sama przemówiła za siebie”. Sa- tyryk nie miał właściwie nigdy roz- umerzenia dla tych spraw. Pisał tylko jako moralista, człowiek obo- jętny na klasowy sens rzeczywistości (w odróżnieniu od współczesnych mu takich wybitnych pisarzy, jak np. Biełiński i jego szkoła krytyczna). Książka przewyższyła zamiar autora.

A teraz pytanie: co w tym obrazie jest prawdą? Czy to prawda, czy fan- tazyja o Rosji przewrażliwionej poe- ty? Odpowiedź jest ta, że tylko w dziedzinie humoru i baśni istnieje deformacja, która nie przestaje być prawdą. Tylko w tym gatunku lite- rackim ten splot przestaje być para- doksem, sprzeczność logiczna zostaje zniesiona...

Trzeźwy realizm, subtelny rysunek w opisie codzienności poręcza sumien- ność i prawdę relacji. I nie tracąc nic z tego swojego charakteru artystycz- nego nieznacznie przechodzi w dzie- dzinę groteski i fantastyki. Ze wspo- minamy znakomite już w historii lite- ratury obrazy, jak pokryta pajęczyną siedziba Pluszkińca, tak podobna z charakteru do właściciela, lub „niezdźwiedzi dwór” niezdźwiedzia- Sobakiewicz. Albo i granie z rzeczywisto- ścią i niereczywistością w „po- ranku rozczarowania” Czyczykowa — a wreszcie samą wspaniałą kon- cepcję „Martwych dusz”. Rola Czyczykowa, jego dialogi i treść psychicz- na jego działania leżą wszakże wła- śnie w tej sferze niepewnej, gdzie nie wiadomo dobrze, co jest rzeczywisto- ścią, a co bezczylnym naigrawaniem się ze „zdrowego rozsądku”. (Fakt, że temat swojej powieści miał Gogol „otrzymać” od swego przyjaciele literackiego Puszkina — nie zmienia postaci rzeczy, gdyż oczywiście sam temat jest sprawą trzeciorzędną). Oczywiście, nie mamy zamiaru mó- wić, że jest to np. Schulz avant la lettre (jak również nie ma w tym utworze Gogola nic wspólnego z ro- mantycznymi niesamowitościami, któ- re spotykamy w jego wczesnych opo- wiadaniach). Ale i do dziś jest to sztuka bardzo współczesna, prekursor- ska. Wprowadzenie elementu „nad- realistycznego”, aby się tak anachro- nistycznie wyrazić, zostało dokonane w sposób jak najmniej zwracający uwagę, językiem prostym i spokoj- nym, niepozornym, najdalszym od chorobliwości stylistycznych, właści- wych wymienionemu współczesnemu nadrealistom. (Nie bierzemy pod uwa- gę stylu apostofof lirycznych, które wymagałyby osobnego omówienia, na co tutaj nie mamy miejsca).

Fantastyka i realizm połączone w wielkim dziele humorysty rosyj- skiego potęgują jego wrażenie i jego prawdziwość.

Tak poważny utwór humorystycz- ny i tak klasyczne dzieło sztuki nie powinno zostać przez czytelnika po- minięte z powodu powierzchownych trudności, które łatwo pokonać. W hu- morze, związanym miejscem i epoką, potrafimy znaleźć głęboką, niepo- równaną refleksję nad życiem i czło- wiekiem.

Janina Pręgerówna

S. p. Wacława Berenta spadkobier- ców albo osoby znające ich adresy poszukuje się. Zgłaszać się: Irena Strzemińska, Warszawa-Praga, Wi- leńska 29 m. 23 w niedzielę do go- dziny 12-ej lub tel. Praga — 459 godz. 9—14.

WIERA INBER

przełożył JERZY POMIANOWSKI

NOC W ŁOSINCIE POD MOSKWĄ

Gdzie padały na trawę
szczone przez carów łosie,
lam trwa nasza północ w oprawie
z czarnego złota sosen.

Północ pod Moskwą (siwa,
głuche iskrzenie w niej świeci).

Ryta w ciemności, niby
cyfra na starej monecie.

Jak stary puchacz, cichaczem,
— siwawo — siny —
wieczór północy skradać się zaczął
pachnący dymem.

Gdzieś — pod sosną nie bliską,
w brzęku komarów zajadłym
płonie leśne ognisko
na torfowych mokradłach.

Czy aby aż tak tu ciemno,
jak to wiatr naszeptuje stary?
— Oto z kina na zewnątrz,
wychodzą podmiejskie pary.

— Całe kino to parę desek,
trochę okien i ławek drewnianych.

I patrzą gwiazdy niebieskie,
prosto w oczy gwiazdom ekranu.

A gdy seria ostatnia szczególnie
i migoty na prześcieradłach
północy paszczką gwiezdna
niebale przelknę jak jadło,

wtedy właśnie, w tym lesie,
wobec kaluż, sosen i nieba
bywa mowa o świecie
jakiego nam trzeba.

I tu, wyprzedzając Innych,
niby czupurny kogucik
— w kurtce, z paskiem koalicyjnym
komsomółka do boju się rzuci,

i powie z emfazą naiwną:
„Łatarnie — to zadanie bojowe,
na ulicach powinno być widno,
jak w uświadomionej głowie.

By ostatecznie zwyciężyć,
trzeba wnieść do przyrody poprawki;
bez komarów, chorób i węży,
proletariat też żyć potrafi!”

Poczem pasek obciągnie gestem
energicznym i trochę śmieszny.
— I od słów tych ciemność gęsto
przejaśnia się — jak od pieśni.

*) M. W. Gogol. Przygody Czyczykowa albo martwe dusze. Przekład Władysława Broniewskiego. (Bydgoszcz), „Książka”, 1946; str. 286 i 2 nł.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄZKA”

SIERPIEŃ-WRZESIEŃ 1946

CENNE WZNOWIENIA

BOY
SŁÓWKA
zł 380,—

BALZAC
DWAJ POECI
zł 100,—

STRACONE ZŁUDZENIA
zł 980,—

CIERPIENIA
WYNAŁAZCY
zł 190,—

BLASKI I NĘDZE
ŻYCIA KURTYZANY
zł 980,—

OSTATNIE WCIELENIE
VAURINA
zł 170,—

M. GOGOL
MARTWE DUSZE
zł 160,—

K S I A Ż K A

TADEUSZ BREZA

Relacje o powstaniu

Reportaż Jerzego Pytlakowskiego pt. „Powstanie mokotowskie“*) jest książką ciekawą i wartościową. Posuwa ona naszą wiedzę o powstaniu, daje nowe informacyjne i obserwacyjne materiały, wprowadza tylko o cząstce topograficznej, ale za to, chronologicznie biorąc, obrazuje jego całość. Opowieść tej książki zaczyna się o godzinie 4 minut 10. kiedy to na rogu Szustra i Puławskiej w dniu 1 sierpnia padły pierwsze strzały; kończy na dniu 25 września, na dniu kapitulacji Mokotowa. W książce swej Pytlakowski relacjonuje walki staczące przez oddziały wojskowe zamknięte na Mokotowie, opowiada o powolnym kruszeniu się tej, nazwijmy ją, twierdzy, mówi również, dużo i ściśle, o nastrojach i obyczajach, które w niej panowały. Odtwarza wreszcie dramatyczne odruchy wewnętrzne buntu, które od pierwszych dni zaczęły porywać i ludność cywilną i żołnierzy. Początkowo w zupełnej cichości ducha, ale po jakimś czasie i w słowach odruchy te zwracają się w koleję przetrwania, co w tak precyzyjnie tragiczny sposób zdefiniowało ówczesny stan rzeczy w Warszawie. Od tego buntu cierpiał i cywil i żołnierz. Nie wiadomo, kto ciężiej. Cywil szukał ulgi w tym, że wygadywał; żołnierz, że był czynny. Pytlakowski te przebiegi odtwarza ściśle.

Kim był na Mokotowie? Nazwał swoją książkę reportażem, ale to raczej pamiętnik. Pamiętnik, któremu przybyłoby na wartości informacyjnej, gdybyśmy mogli się dowiedzieć, kto go pisze. Widać, że człowiek o tym i o owym dobrze poinformowany! Ale na jakim szczepku? Pytlakowski tego nie pisze, stąd pewne niejasności. Jak na przykład z ewenementami z rozdziału „Rapsodia węgierska“. Autor opowiada w nim, że pod koniec sierpnia dowódca oddziału Mokotów nawiązał łączność z oddziałami węgierskimi, znajdującymi się w Konstancinie, a to w tym celu, by namówić je, żeby przeszły na stronę powstańców. Ekspedycja dyplomatyczna wyjeżdżała do Węgrów dwukrotnie. „W towarzystwie dolarów“ — mówi Pytlakowski. Ale czy to nie były wyprawy wyłączone po broń? Tak sobie o tym szepczano na Mokotowie. Pytlakowski daje sprawie szerszą interpretację. Gotów jestem ją przyjąć. Tylko chcę wiedzieć, z jakich źródeł Pytlakowski czerpie swoje informacje.

Te dyplomatyczne informacje? Bo inne są żołnierskie i własne, czy na gorąco zasłyszane, i te wydają mi się niezawodne. Relacje autora o operacjach wojskowych grupy Mokotów są wstrząsające. Zarówno o tych, które miały za cel zdobycie i utrzymanie się w Brun-Werke, jak o tych, które mówią o atakach na Sadybę Oficerską czy na Czerniaków. Wszystkie mają jeden przebieg! W pierwszym rzucie wieńczy je powodzenie, bo punkty, które Mokotów chce za garnąć, są niezłomne; ale po zwycięstwie następuje odwet, odrzucenie oddziału powstańczego i zniesienie z powierzchni ziemi obiektu, którym się oddziały zainteresowały. Sam Mo-

kotów natomiast, w pierwszej kilku tygodniowej fazie, nie jest przez Niemców atakowany. Ma on sobie — jak gdyby — na tych terenach, na których w pierwszych dniach się utrzymali, być! Ma się na nich rozpościć i czekać. Czekać na swoją kolej. Po Starówce i po Powiślu.

Mokotów nie chciał! Na początku próbował zgryźć najcięższe punkty oporu, którymi nadziane miał wnętrza. Ale „Wedel“, „Dworkowa“ czy „Willowa“ nie dały się ani drgnąć. Nocą czy świtem, za najłżejszym szmerem pluły ogniem. Wtedy, słysząc o wielkich stratach powstańców, grupa inżynierów nawiązała kontakt z mokotowskim dowództwem zaproponowała podkop. Tromtradracki! Sienkiewiczowski! Dowództwo nie chciało o tym nawet gadać! Bo we wstępnej propozycji górnicy obliczyli, że na podkop potrzeba by im było dwu tygodni! A za dwa tygodnie, zdaniem dowództwa, już miało być po wszystkim! Jeszcze więc raz, jeszcze dwa próbowano wziąć od czoła te domy-bunkry. Raz nawet wyważono w domu Wedla bramę, ale nie dało się nic więcej zrobić. Wtedy właśnie przyszła epoka owych wypadków po niczyje. Rozpalających wyobraźnię wstępnym powodzeniem, rujnujących nerwy idącą w ślad za tym powodzeniem niemiecką ripostą, pouczającą Mokotów o jego niemocy.

Te strony, na których Pytlakowski opowiada o podobnych wyprawach, trudno czytać bez ściśnięcia serca! Każda z tych wypraw była bohaterska, a wszystkie razem były beznadziejne. Żołnierz powracał z nich milczący, do ludzi cywilnych nie odzywał się ani słowem, a tylko ze swoimi zamykał się po pokojach i gadał. Ludność przyglądała im się urażona ich dumą. Ale to nie była dumą! To był ich ból, i ich honor, i ich takt! Mało kto zaś rozumiał, że to również była bardzo zła wróżba! Cóż może mieć gorszą wymowę o wojnie niż milczenie żołnierzy? Lecz nie wszystkich! Byli inni. Ci z administracji. Rozległej, rozbudowanej. Różni tacy porucznicy liczący po pięćdziesiąt lat, którzy przez pierwsze dni powstania byli nieufni, potem decydowali się, biegli do dowództwa po gwiazdki i po odkomenderowanie. Z konspiracją nie mieli nic wspólnego. Co najwyżej tyle, że przed Niemcami potrafili zakonspirować swój stopień i nie pójść do obozu. Teraz swemu tajemnemu oficerstwu dawali jak najszersze ujęcie; ale nie mając przeszkolenia w konspiracyjnych oddziałach, nie nadawali się do linii czy sztabów. Obejmowali zmilitaryzowany zarząd cywilny. Byli ośrodkami aktywności i optymizmu. To pewno! Nie brali udziału w przygotowywaniu wybuchu, nie orientowali się w brakach ani w ciosach zadanych oddziałom. Zagospodarowywali się.

Jeden z nich powiął myśl, aby mokotowian zaopatrzyć w polskie dowody osobiste zamiast niemieckiej Kennkarty. Ten ufał! I jak jeszcze! Tyle, że bez żadnego wyrachowania, zupełnie tak sobie, po prostu. U innych ufność była sprawą honoru, patriotyzmu. U jeszcze innych — charakteru. Wśród wątpliwych można również wliczyć odcienie. Różnicować ich! Zwolna zaczęli się oni definiować pod tym względem, tak samo jak zwolna zaczęli się wszyscy mokotowianie definiować politycznie. A raczej zwolna, z różnych mieszanych, pełnych zastrzeżeń i mozaikowych pozycji wypadkowych przechodzić do tych zupełnie skrajnych! Wciąż się słyszało to jedno, każda wypowiedź polityczną rozpoczynające słowo, które służyło różnym aktom wiary politycznej za wstęp. „Trudno!“ I dopiero po tym „trudno“ następowało merytoryczne wyjaśnienie o tym, jak powinniśmy byli postąpić. Trudno: ale — tak, a tak! Trudno, ale „należało z tym“. Inni zaś mówili: Trudno „trzeba było z tamtymi!“ Z tych oświadczeń wynikało, że każdy z mówiących, na początku, sam z siebie, woli, żebyśmy w przyszłość szli sami. Ale widzi, że od tej pozycji musi odstąpić. I wtedy decyduje się iść z tymi albo z tamtymi. Trudno!

Pytlakowski wyraźnie mówi z kim należało — „Żołnierze ze Starówki (z grupy ppłk. Radosława), szczury kanałowe, ludzie z żelaznymi nerwami, którzy przeżyli śmierć Starogo Miasta... zawędrowali aż nad Wisłę, by znaleźć się wreszcie w Mokotowie“. Stamtąd „ponieśli dalej swój sen o Starówce do Śródmieścia. Tak skończyła się epopeja ludzi, których los obarczył obowiązkiem spełnienia największych czynów i którzy na Czerniakowie zbuntowali się przeciw temu nakazowi (tzn. zerwali z „berlingowcami“ kontakt i nie przeszli za Wisłę). Sprzeniewierzyli się historii, chociaż mogli stać się jej głównymi aktorami. Na Starówce zaczęła się ich wielkość i skończyła. A przecież na Czerniakowie mogło się wydarzyć coś znaczniejszego niż bohaterska klęska. Z Czerniakowa mogło wyjść bohaterskie zwycięstwo na całą Warszawę“.

Ale to mówi Pytlakowski na podstawie naszych dzisiejszych doświadczeń i przemyśleń. I dzisiaj to powiedzieć jest łatwo! Ale wtedy żołnierz miał sprawę wbitą w głowę inaczej. Bronił Warszawy i rozumiał, że siły zza Wisły do niego doszłusują. A poza tym? Skok za Wisłę w ówczesnym stanie umysłów i przy ówczesnym pogmatwaniu informacyjnym, to był skok w niewiadomą, skok w przepaść. Kto oglądał tych ludzi Radosława, którzy w Pytlakowskim wywołują zdziwienie tym, że nie poszli za Wisłę, kiedy się „berlingowcy“ pokazali pod Pompami na Czerniakowie, ale zawrócili do Śródmieścia, będzie może bolał, ale rozłoży ręce! — „Brudni, przemoczeni, prześmierdli odorem kanałów — powiada o nich sam Pytlakowski — siedzieli na rurach, leżących nie wiadomo po co w ogrodzie przy ul. Wiktorskiej. Było ich kilkudziesięciu i parę kobiet. Wszyscy o twarzach wychudzonych i zmęczonych... Czynie wrażenie ludzi śmiertelnie zmęczonych: drzemali w ogrodzie, chociaż był dzień, a Niemcy ostrzeliwali Mokotów“. Tak się przedstawiali! W tym stopniu służbowym i w tym stanie zmęczenia żołnierz jest istotą sztywną, niezdolną do wykonywania obrotów o takiej rozpiętości historycznej, jakiej żąda od niego Pytlakowski. Wspomina on w kilku słowach o zetknięciu się „radosławowców“ z „berlingowcami“. Rozmów ich nie odwarza, ale za to w wielu miejscach orze ugór pod przyszłą wielką książkę o powstaniu, markuje sceny, ale nie wypełnia ich. Sam się zastrzega, jak już wspominałem, że pisze tylko reportaż. Ale robotę nad taką przyszłą książką posuwa naprzód. Dla innych, albo może dla siebie.

Zresztą Pytlakowski buduje swoją książkę od razu we wszystkich kondygnacjach tak prawie jak powieść. Tylko jeszcze nie ma w niej jednostek ludzkich, nie ma również perypety pojedynczych osób. Opowiedziane są natomiast perypetie jednej dzielnicy, „akcja dramatyczna“, w którą ona została wciągnięta, akcja — jak uważa Pytlakowski — „szalenie porywająca“.

Od tej akcji Pytlakowski odstepuje dosyć często dla wypowiedzi takich jak przytoczona przed chwilą. Przydaje ona książce ton ważny, ale sam tekst rozbija. Czyny w tym miejscu tekst czymś gorszym. Bo też odtwarzanie naszych ówczesnych refleksji jest, literacko biorąc, trudne, ze względu na chaotyczność, rozprzeczność tych refleksji. Przytaczanie zaś naszych dzisiejszych refleksji na tematy powstańcze — rozżala. Pewnie, że to już jest dużo, jeżeli ktoś jest mądry na temat owych dawnych spraw, ale cóż z tego, kiedy to za późno.

Z lekturą Pytlakowskiego chciałbym zestawić Joanny Żwirskiej „Patrol sanitarny“ („Twórczość“, wrzesień 1946, str. 121—139). To również cząstkowa relacja o powstaniu. Autorka nazywa ją „szkicami fotograficznymi“. Dobrze nazywa. Ale nie doskonale. To taśma. Zdjęcia na taśmę. Robiono samoczynnym, małym, ale precyzyjnym aparakiem. kopiującym lataninę pewnej sanitariuszki, latanine bohaterską, zwala-

jącą z nóg, monotonna. Chwytał on życie tej sanitariuszki tylko do minimalnej głębi. Na żadne sondy się nie puszcza, na żadne rozgałęzienia. Za pomocą tej metody Żwirska wykonała rzecz literacko pouczającą. A sprawą jej wrażliwości i jej daru jest to, że wykonała rzecz, literacko biorąc, porywającą. W porównaniu z Pytlakowskim jej relacja jest wyłącznie tylko oglądem. To kawałek powstania podciągnięty do poziomu jednej pary oczu i jednej pary uszu. One scalają! Ale jak może być inaczej? W wypadkach, kiedy pisarz ma do czynienia z takim wszechświatem wydarzeń jak powstanie, jeżeli nie stać go na zuniifikowane relacje o nim własnym geniuszem, niech próbuje unifikować własną osobą. Nie ambitne to! Ambitniejszy Pytlakowski z wielością swoich warstw. Tylko, że jego ambicja ma system starodawny. Dzisiejszy, nowy rodzaj ambicji to jak najdalej posunięta pokora.

Cichym swoim i miejscami nonszalanckim tonem potrafi Żwirska powiedzieć rzeczy, których już się nie zapomina: — „Zdążyliśmy tylko

zbiec z piętra, gdy gwizdnął granatnik i nagle wyrósł z podwórza krzyk. Tu — tam — zabici! Rannych jest kilku, robimy opatrunki na miejscu. Dzieci placzą. Placzą cicho, jakby gdzieś na końcu ulicy, a przecież stoją pod murem i okrągłe oczy wlepiają w niebo. Nie, to dach się pali. Ze środka podwórka, od krwawych szmat i kałuży powoli odrywa się małe, rozczochrane stworzonko, wyciągnięte rączny — idzie — jakby na tych maleńkich ramionkach dźwigało cały ogrom świata, idzie tak parę kroków, by nagle z najstraszniejszą skargą: mama! — wpaść w nachylone ramiona Zośki. Gdy zbierałyśmy zabitych, matka tej dziewczynki żyła jeszcze. — Dziecku jeść — powiedziała nakazując, okrwawioną rękę wznosząc w prostokąt nieba“.

Ale i Pytlakowski miewa w swoim wyrazie siłę i precyzję. Odmienny od Żwirskiej i innymi środkami dowodzący, dowodzi nam jednak tego samego co i ona, że coraz to przybywa nam prawdziwych pisarzy.

Tadeusz Breza

TAKO RZECZE BĘDZIKIEWICZ

„Nie ulega wątpliwości, że jesteśmy na nowej drodze badań naukowych. To też możemy się spodziewać, że nowy odcinek polskiej wiedzy będzie podniętą do nowych pomysłów i badań naukowych nie tylko u nas, ale i za granicą“. — Takim zapewnieniem kończy pan Sebastian Będzikiewicz swoją pierwszą pracę naukową, ogłoszoną drukiem, wydaną „nakładem autora“ w Krakowie, Roku Pańskiego 1946. Już sam tytuł traktatu wskazuje, że Będzikiewicz odkrywa istotnie „nowy odcinek wiedzy“. „Nazwy geograficzne obu półkul ziemi jako wynik uniwersalnego Prawa Natury i drogowskaz do nowych odkryć w zakresie elektrycznej natury wszechświata“. Po takim tytule rzeczywiście nie ulega wątpliwości, że możemy się spodziewać wiele — nawet interwencji zagranicy.

Sebastian Będzikiewicz powiada:

„Caly wszechświat jest, jak nam wiadomo, jednym olbrzymim zjawiskiem Natury, w skład którego wchodzi wielkie, mniejsze i małe zjawiska. Wszystkie one są wynikiem Prawa Natury ukrytych przed naszymi oczami, ale nie przed naszą świadomością“.

Słowo się rzekło — czas uderzyć w czynów stal, to znaczy ukazać pokrzywdzonym oczom zjawiska będące wynikiem Praw Natury, jak o tym zapewnienia świadomość Sebastiana Będzikiewicza, dla której nie masz tajemnic. Sebastian Będzikiewicz pochyla się więc nad swą pojemną świadomością i dobywa z niej parę garści zjawisk Natury, które są — jak wiadomo — wielkie, mniejsze i małe.

Z uznania godną skromnością prawdziwego męża nauki rozpoczyna pokaz od „małych“, gdyż większe i wielkie nie zmieściłyby się na 14 stroniczkach formatu ósemki.

Sebastian Będzikiewicz twierdzi:

„Nazwy geograficzne są związane z sobą jakimś magicznym węzłem i jakby pod wpływem jakiejś siły magicznej wskazywają bardzo wyraźnie na miejsce, w którym znajduje się intelektualne i fizyczne centrum elektrycznych sił wszechświata. Nazwy geograficzne, czynią to z takim uporem jakby chciały zwrócić naszą uwagę na to, że w olbrzymim wszechświecie istnieje co prawda mały pod względem rozmiarów, osobny i odległy ale potężny świat, prawie zupełnie jeszcze nieznan“. Jest to „świat transtelluryczny“. W nim rezyduje „przedwieczny“ myślący pierwiastek wszechświata“, który daje o sobie znać m. i. poprzez fonetyczne podobieństwo nazw „Pacanów“ i „Parana“. Uderzające, prawda? Tu „P“ i tam „P“. Taka czkawka transtelluryczna nie jest bez kozery — musiał pomyśleć pan Sebastian Będzikiewicz, kiedyś, w momencie genialnego natchnienia, może w zbyt gorącej kąpieli, jako że już Archimedes... wiadomo!

Dziś, po dokonanych studiach, Sebastian Będzikiewicz ze słuszną dumą oznajmia: „Nazw geograficznych z takimi naturalnymi cechami jest według teoretycznych obliczeń około 2.500.000“. — Ho, ho — kto by przypuścił, że ten myślący pierwiastek wszechświata, chociaż mały pod względem rozmiarów... „Weźmiemy tylko — zabęca Sebastian Będzikiewicz — małą ilość przykładów z obu półkul globu ziemskiego“. — Jakaż szkoda, że tylko „małą”

ilość“, zamiast obiecanego półtrzecia miliona. Ale cóż — weźmiemy co daję.

Ot, na próbę, coś spod „B“.

„Babia Góra. Bab. Baba. Babadagb. Babanica, Babaeski, Babakunda, Babakalesi, Babakul, Bababurun, Babasso, Babisa, Babimost. Babicosa. Babice. Babujan. Babylon. Bab el Koroska. Bab el Mancheb. Kubibaba. Karababa. Imam-baba. Delibaba. Kirlibaba“.

Nadzwyczajne, prawda? „Baba... baba...“ — wszędzie baba. Zeński pierwiastek kosmiczny emanujący ze świata transtellurycznego zakonspirowanego na szczycie Babiej Góry. — Teraz „podnieta do nowych pomysłów“ zaczyna działać automatycznie, popychając umysł do odkrycia męskiego odpowiednika kosmicznej „baby“. Oczywiście, jest! Pod „T“: „Tata. Tate. Tati. Tatejama. Tatta. Tatar. Tatarbunary. Tatio. Tatanam. Tatwas. Taisin. Tatiensiu. Tatrajüred! Tary“... Najpospolitszy laik przy odrobnie wyobraźni dostrzeże nie mistyczną przeciągniętą pomiędzy szczytami Tatr i Babią Górę.

Praca Sebastiana Będzikiewicza cieszyć się będzie na pewno ogromną poczytnością w Psiej Wólce, Kaczycy Dołach, Pacanowie i innych osiedlach o mniej lub więcej wstydliwych nazwach. To, co mieszkańcom owych miejscowości wydawało się przez wieki dopustem bożym i haibą — okazuje się wynikiem „elektrycznej natury wszechświata“. Co za awans dla Psiej Wólki, gdy ją umieścić w gronie nazw skolligacyjnych transtellurycznym pokrewieństwem: Psari, Psyra, Psara, Psków, Pseboa, Psathura, Psophis, Ipsala, Upsala, Zips, Ups, Ybbs, Wolosca, Voloskoje, Valaskabella...
I pomyśleć, że na każdą literę da się tak! Bez globusu! Wystarczy zacząć — a potem idzie samo:

Kraków. Kretynga. Kretyn. Koczokdan. Kurwa. Kobierzyn. Kobra. Dekobra. Karramba. Okaryna. Oleander. Aberdeen. Abdera. Akarakadabra...
Sebastian Będzikiewicz nazwał skromnie swoją pracę „biuletynem“. Jest to „biuletyn I“. W tym oznaczeniu zawiera się groźba następnych. Można przewidzieć prawie tytuł „drugiego biuletynu“: „Podobieństwo nazw geograficznych polskich i afrykańskich jako podstawa naszych roszczeń kolonialnych“...
wm

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka“

SIERPIEŃ — WRZESIEŃ 1946

EKONOMIA — FILOZOFIA

K. Kautsky

Nauki ekonomiczne Karola Marksa
zł 80.—

J. Plechanow

Materialistyczne pojmowanie dziejów

A. Schaff

Pogadanki ekonomiczne
wyd. II. — zł 26.—

K. Marks i F. Engels

O materializmie historycznym
wyd. II. — zł 25.—

Fr. Engels

Ludwik Feuerbach i zmierzch
klasycznej filozofii niemieckiej
wyd. II. — zł 30.—

„Książka“

287

NOWOŚCI WYDAWNICZE

ILIA ERENBURG

UPADEK PARYŻA

POWIEŚĆ

„Książka“

246

BIBLIOTEKZKA TEATRALNA

Biblioteczka Teatralna. Nr 1. Józef Stawowski. Teatr w świetle. Zbiór wskazówek technicznych z rysunkami. Kraków, Wydawnictwo Eugeniusza Kutana, 1946; str. 29 i 2 n. — Nr 2. Edward Rączkowski. Magazyny. Sztuka w dwóch aktach. Tamże; str. 51 i 1 n. — Nr 3. Anna Świrszczyńska. Ostrożny. Sztuka w dwóch aktach. Tamże; str. 24. — Jerzy R. Bernard-Bujanski i Kazimierz Lep-szy. Rok 1846 w Krakowie. Montaż histo-ryczny. Tamże; str. 29 i 3 n.

Dużo się u nas radziło ostatnimi cza-sami nad podniesieniem poziomu życia teatralnego. W dyskusji wysunięto m. i. postulat wychowania nowego widza tea-tralnego. Jedną z dróg, zmierzającą do tego celu, jest rzetelne zainteresowanie się potrzebami scen amatorskich i świa-tlicowych. Widowiska przez nie dostar-czane stanowią bowiem dla znacznej czę-ści społeczeństwa, zwłaszcza na prowincji i wśród sfer robotniczych, pierwszą fazę współzycia z teatrem. Ta faza bywa nie jeden raz, niestety, także ostatnią — bo jedyną.

Dotychczasowy repertuar „amatorski”, dysponujący białymi pod względem tre-ści, marnymi artystycznie, „sztuczkami”, oddał teatrowi niedźwiedzią przysługę, ucząc widzów i upodobał niegodnych człowieka kulturalnego. Strona insceni-zacyjna tego rodzaju widowskiego, równie licha, dopełniała rozmiar społeczne-go szkoldnictwa. W „popularnej” twór-czości teatralno-widowskiej wyżywa-ł się grafoman, domorosły reżyserowie i dekoratorzy-pacykarze, ugruntuowani wspólnymi siłami zamiędlanie do fra-zesu, do szmiry — szercząc zaraz zło-gu smaku.

Dlatego to na szczególną uwagę zaslu-guje pierwsza po wojnie próba stworze-nia stałego wydawnictwa utworów tea-tralnych, pisanych przez autorów z praw-dziwego zdarzenia, przeznaczonych dla potrzeb świetlicowych. Jest nią „Bibli-oteczka Teatralna” prowadzona przez wy-dawnictwo Eug. Kutana. Dysponuje ona autonomicznym aparatem redakcyjnym z siedzibą w Krakowie, pod kierowni-cstwem Władysława Lecha (adres: Kraków, plac Dominikański 2).

Cztery tomiki, które się dotychczas u-każaly, świadczą dobrze o intencji, jaka przysięgła inicjatorom — ale też ukazu-ją, wleczając jeszcze nieprzezwycięzoną trudność — trudność „przystępnego” (a wartościowego) pisania dla niewypro-bionych teatralnie widzów. Jest to trud-ność prosto: trudność osiągnięcia maks-imum rezultatów przy zastosowaniu najprostszych (literacko i inscenizacyj-nie) środków. Traska o sens dydaktycz-ny utworów nie ułatwia zadania — wręcz przeciwnie.

Tomik pierwszy, „Teatr w świetle” Józefa Stawowskiego, zawiera zbiór pod-stawowych pouczeń dla organizatorów sceny amatorskiej. Są to wskazania praktyczne „jak zrobić dekorację, jak zbu-dować scenę, jakie są potrzebne insta-lacje techniczne — to jest, krótko mó-wiąc, jak wziąć się do roboty”. Zwięzła informacja, uzupełniona prostymi i prze-rzystymi rysunkami, przysięga na pew-no kierownikom imprez świetlicowych. Godne pochwały jest liczenie się z praktycznymi warunkami (raczej ciężkimi) przy urządzaniu sceny: stąd porady doty-czące materiału, z jakiego najłatwiej sporządzić potrzebny sprzęt teatralny, dają się zrealizować przy niewielkich wydatkach.

W osnowie instrukcji technicznych u-miał wpleść autor broszury pozytywne uwagi dotyczące estetycznej strony wi-dowskich świetlicowych; przestrzegł przed brzydotą pretensjonalnych, naturalistycz-nych dekoracji i „wnetrz”, zachęca do stosowania łatwych, a sugestyjnych skrótków dekoracyjnych, wręcz naciska na najwzajemniejszą w teatrze sprawę: na piękno zwego słowa — wszystko to tra-fia w najczęstsze błędki teatru ama-torskiego.

Tomiki następne dostarczają już utwo-rów scenicznych nadających się do gra-nia. Pierwszy z nich Edwarda Rączkows-kiego „Magazyny”, rozgrywa się „w pro-wincjonalnym ośrodku przemysłowym, w pasie przyfrontowym, w okresie wiel-kiej zimowej ofensywy w roku 1945”. Grupa polskich partyzantów, skontakto-wana z oddziałem stojącym w pobliżu ar-mii radzieckiej, postanawia ocalić prze-znaczone na zniszczenie przez Niemców obiekty fabryczne i magazyny z żywno-ścią. Przy pomocy ludności cywilnej, wiejskiej i robotniczej cel zostaje osią-gnięty. Niemcy uciekają w popłochu przed nadciągającą ofensywą, a niety szabrownicy, których prowodyrami są „granatowi” policjanci, wpadają w ręce dzielnych chłopców. Sztuka jest zakoń-czona sceną ukonstytuowania się pierw-szego „Sądu Ludowego”, złożonego z przedstawicieli walczącego ośrodka ro-botniczo-wiejskiego; u wejścia do oca-łonych „magazynów”, pod biało-czerwo-nym sztandarem, wymierza się sprawied-liwość zdradcom i zbrodniarzom.

Sztuka jest interesująca, żywo napl-sana i wykazuje niewątpliwie nerw scenicz-ny; obok momentów pełnych dramatycz-nego napięcia zawiera partie pełne hu-moru, te zwłaszcza, w których wystę-pują dobrze podchwyczone typy wiejskiej przemawiającej soczysta (miejskami aż nazbyt) gwara, — Szkoda, że autor nie uszeregował się przerysowania niektórych postaci (obiękana z przerażenia kollar-bażonistka Irena) i niektórych sytuac-tych. Baż, przydługie i przeladowane pa-tossem tryadry „ideologiczne”. Wątek mi-łobny pomiędzy „ideologicznymi” watek-partyzantów nieznaczny zarówno ze względu na nieodwzajemność (słusznie, co praw-da), natarczywą agresywność ze strony kobiety, jak i ze względu na akcenty brutalności w zachowaniu się Pawła, można było bez większej dla utworu szkody pominąć. W ogóle autor lubuje się w „dosadności” — zarówno języko-wej, jak i sytuacyjnej, zwłaszcza wtedy, gdy wyraża uczucia „miotające” boha-terami (określenie „miotacze” charak-teryzują dobrze przerażenie „uczulowej” ekspresji postaci; dostarcza to bardzo niebezpiecznych sposobności dla amato-rskich „szarzy”). Zastosowanie fonetycznej piśni w dialogach gwarowych utrud-nia czytelność; gwarę lepiej było zazna-czyć jak najdelikatniejszymi rysami; irytuje głównie nieznośna labializacja nagłosowego „o” — a więc „oddocie” zamiast „oddacie”, „locy” zamiast „o-czy” itd. bez opamiętania.

Poza usterkami natury literackiej, z których zresztą wiele da się usunąć przez inteligentnego reżysera w trakcie realizacji scenicznej (np. obcięcie dłu-żym) — trzeba podnieść zastrzeżenia co do możliwości wykonania świetlicowego sztuki; inscenizację utrudni znaczna ilość osób (26) i trudne rozplanowanie sceny w akcie drugim, w którym akcja roz-grywa się na trzech „poziomach”: poza normalnym poziomem sceny jest po-trzebne okno na piętrze (z łażeniem do drabiny do owego piętrowego wnętrza) i okno piwniczne, również do włączenia. —

To może odstraszyć nie tylko pierwszą lepszą świetlicę, ale nawet teatr Straży Pożarnej, z odpowiednim sprzętem do wspinalski wysokopiętrowej.

Natomiast sztuka Anny Świrszczyńskiej „Ostrożny”, z niedużą ilością występu-jących osób (7) i łatwą zmianą dekoracji (restauracja i mieszkanie prywatne), nadaje się doskonale do wykonania w świetlicy.

Treść sztuki jest zajmująca, chociaż bardzo prosta: Była sobie za czasów o-kupacji rodzinka, takich — na szczę-ście — nie pamiętamy zbyt wiele. Papa-restaurant robił nieczyste interesy, sy-nalek był konfidentem, córeczka zada-wała się z gestapowcem, a mama plek-ła się nad uciążliwą kelnerką Zosią, na-pędzając ją do niegodnych posług, cze-mu się Zosia sprzeciwiła porzucając służbę.

W drugiej odsłonie odnajdujemy te sa-mo rodzinie z wspomnianej rzeczywisto-ści powojennej. Dzięki temu, że papa był i jest „ostrożny” — wszystko idzie do-brze: kwitnie szaberek, zbiera się lapów-ki, przy czym cała rodzinka jest uważana za niezwykle patriotyczną i zasłużoną. Ofiarą tej mistyfikacji omal nie pada szlachetny Ideowy Michał, który się nie-opatrznie zakochał w bylej przywiódce gestapowca. Młodzi idą już prawie do ołtarza, lecz oto zjawia się skrzywdzona niedgdy Zosia i otwiera oczy zapalczy-wemu amantowi na waga prawdę. Osta-tecznie Numa nie wychodzi z Pompi-liusza, gdyż oliwa wychodzi na wierzch — i wszyscy, oprócz Zosi i Michała, wycho-dzą ze sceny wprost do paki.

Zywość dialogu, umiejętność „upla-tywania” postaci paru trafnymi ry-sami przy zachowaniu dużej oszczędno-ści słowa — każą darować zbyt daleko posunięty schematyzm sytuacji, podkry-towany troską o prostotę i „łatwość” sztuki.

Na marginesie „Ostrożnego” warto je-szcze zauważyć, że najtrudniej przycho-dzi autorom wyrażenie „morału pozy-tywnego”, natomiast krytyka, satyra, de-maskowanie umyślnych przejawów życia udaje się o wiele lepiej. Stąd i w Świr-szczyńskiej „czarne charaktery” biją o głowę szlachetną parę Michała i Zosi, jeżeli idzie o wyrazistość i wewnętrzną prawdę postaci. Trochę to niebezpieczne, jeśli się zwąży, że wobec figury papie-rzowej, choćby najszlachetniejszej, widz zachowuje rezerwę i blerność, podczas gdy dla takiego np. knajpiarza-kombinatora, postaci żywej i komicznej, pozostanie coś na kształt sympatii czy wdzięczności za uśmiech rozbawienia, którego był sprawcą.

Ostatni tomik „Biblioteczki Teatralnej” zawiera montaż historyczny w opracowa-niu Jerzego Ronarda-Bujanińskiego i Ka-zimierza Lepszego pt. „Rok 1846 w Kra-kowie”. Obszerny temat trudno było po-mieścić w szczerpiej ramie prologu, 3 scen i epilogu — a rozbudowywanie akcji do rozmiarów widowskiej w rodza-ju „Kościuski pod Racławicami” mia-łoby się z celami teatru świetlicowego. Autorowie ograniczyli się więc do roz-prowadzenia referatu o rewolucji kra-kowskiej na kilkanaście głosów. W „Pro-logu” te „głosy” podają końcowy ko-mentaryz historyczny; właściwa udrama-tyzowana osnowa zdarzeń została poda-

strategicznej i nieprzygotowania („dy-wizja była niedostatecznie uzbrojona masą ludzi, koni i wozów”), małej liczby samolotów (76 bombowców), nieomal zu-pelnego braku broni pancerniej i arty-lerii przeciwlotniczej, czy stanu forty-fikacji od strony Niemiec. Nie tylko z-biegów poczynionych przez dowództwo od samego początku bitwy granicz-nej w pierwszych dniach września do katastrofy w łuku Wisły i samego końca walki.

Gruntowne i bogate w informacje roz-działy, poświęcone przez J. Kirchmayera planowi wojny i rozwinięciu wojska oraz przebiegowi działań wojennych, sta-nowią wielki sukces naszej literatury wojskowej i wojenno-historycznej. Ale przytoczenia właściwych kłeski szuka autor z głęboką racją poza błędami wojskowy-mi, fałszywą doktryną wojenną, wiarą w wszechmoc naczelnego wodza i wszech-moc dywizji, błędną organizacją i złym stanem uzbrojenia i zaopatrzenia wojsk.

Zarodki wojskowej kłeski leżały w mi-lającej się z rozumem polityce zagranicz-nej, ta zaś wiązała się organicznie z całą strukturą społeczno-gospodarczą i w-nętrznopolityczną Polski międzywojen-nej. „System rządów jednej warstwy do-

na w trzech następnych scenach: scena pierwsza, przedstawia zebranie rewolucjo-nistów w Krzysztoforach i wybuch po-wstania, scena druga zebranie obywa-teli przed ratuszem miejskim na rynku i proklamację rewolucyjną Tyssowskie-go, zaś w scenie trzeciej występuje Dem-bowski, wyruszający z rynku podgó-rskiego w stronę Wleczki. W „Epilogu” znowu grają tylko „głosy” informujące o dalszych wydarzeniach, a wręczcie po-dające widzowi (a raczej słuchaczowi) historyczną ocenę rewolucji krakowskiej.

Rzecz jest raczej słuchowiskowa, a nie teatralna. Brak akcji osadza aktorów w miejscu, pozwalając im tylko wysłu-chiwać biernie tyrad pierwszoplanowych postaci. Mimo te zastrzeżenia, montaż na-pisany ładnie, z szlachetną myślą prze-wodną, stanowić będzie cenną pozycję w przyszłych programach akademii, „po-ranków” czy „wleczków” poświęconych rewolucji krakowskiej.

Ogólnie rzecz biorąc, dotychczasowy dorobek „Biblioteczki Teatralnej” nie-wątpliwie wartościowy, nie rozwiązuje bez reszty problemu nowych sztuk dla scen świetlicowych. Trzy omówione ut-wory — to wleczki, jeszcze próba raczej i zamierzenie, aniżeli osiągnięcie. Pole dla dramaturgów otwarte dalej, droga z lekką przetańką, lecz bynajmniej nie zajeżdżona. Tym większa racja, aby „Biblioteczka Teatralna” kontynuowała swą pożyteczną działalność.

Wrzesień uważa końcową: korekta (z wyjątkiem „Roku 1846”) bardzo zła. Z uwagi na przeznaczenie tomików, spra-wa nie jest blaha — gdyż „jak cię wi-dzą, tak cię piszą”.

Wilhelm Mach

KAMPANIA WRZEŚNIOWA

Jerzy Kirchmayer, płk. dypl. Kampania wrześniowa. (Warszawa, „Czytelnik”, 1946; str. 270 i 2 n. 19 map.

Omawiając książkę gen. Gamelin „Ser-wis les armées françaises de 1940” w londyńskich „Wiadomościach” (nr 21) — p. Władysław Dziewanowski dochodzi do wniosku, że w porównaniu z katastrofą we Francji, u nas w „owym pamiętnym wrześniu 1939 nie było znow tak źle”.

Płk Jerzy Kirchmayer w pracy, której można dać miano dzieła, gdyż wejście ona niewątpliwie do podstawowej literatury naszej o historii wojen, a na literaturę o wojnie polsko-niemieckiej 1939 r. wywrze wielostronny wpływ — wysnuwa zupełnie odmienne wnioski. W skrócie sformułował je on do jedne-go: kłeska wrześniowa była zdecydowana zanim padł pierwszy strzał.

Wynikało to nie tylko z dysproporcji sił naszych i niemieckich, wobec których sta-liśmy sami, w pojedynkę, gdy przewi-dziane przez tajną umowę ofensywnie działania armii francuskiej i angielskiej nie nastąpiły. Nie tylko z braku solidnie opracowanego planu wojny, który u nas zastąpiono improwizacją Rydza-Smigł-go. Nie tylko z przestarzałej doktryny

strategicznej i nieprzygotowania („dy-wizja była niedostatecznie uzbrojona masą ludzi, koni i wozów”), małej liczby samolotów (76 bombowców), nieomal zu-pelnego braku broni pancerniej i arty-lerii przeciwlotniczej, czy stanu forty-fikacji od strony Niemiec. Nie tylko z-biegów poczynionych przez dowództwo od samego początku bitwy granicz-nej w pierwszych dniach września do katastrofy w łuku Wisły i samego końca walki.

Gruntowne i bogate w informacje roz-działy, poświęcone przez J. Kirchmayera planowi wojny i rozwinięciu wojska oraz przebiegowi działań wojennych, sta-nowią wielki sukces naszej literatury wojskowej i wojenno-historycznej. Ale przytoczenia właściwych kłeski szuka autor z głęboką racją poza błędami wojskowy-mi, fałszywą doktryną wojenną, wiarą w wszechmoc naczelnego wodza i wszech-moc dywizji, błędną organizacją i złym stanem uzbrojenia i zaopatrzenia wojsk.

Zarodki wojskowej kłeski leżały w mi-lającej się z rozumem polityce zagranicz-nej, ta zaś wiązała się organicznie z całą strukturą społeczno-gospodarczą i w-nętrznopolityczną Polski międzywojen-nej. „System rządów jednej warstwy do-

prowadził w Polsce do tylu katastrof, że nie warto się przy nim upierać”; „polska polityka zwrócona ostrzem na zachód i wschód jest fantazją polityczną, zamie-rzoną wysoko ponad nasze siły”; „punkt ciężkości terytorialnych zagadnień polskiej leży na północy i zachodzie”; „je-dynie realnym i trwałym zadaniem Pol-ski jest postawa czołem na zachód w so-luzie z sąsiadem wschodnim” — oto trzecie maksymy, wysnułe przez autora jako nauka „czarnego września”.

W książce Kirchmayera nie ma nic z defetyzmu, przeciwnie, przepaja ją u-znanie dla morale społeczeństwa w stra-znych dniach próby i postawy żołnierza oraz niektórych dowódców. Jest natom-iast zdolność parzenia prawdzie w oczy i nazwania jej po imieniu. Walka z mitem i mistyfikacjami, „że nie było znow tak źle”, próbami zaśłaniania się błędem i winą innych, np. Francuzów, znajdzie w dziele J. Kirchmayera oręż niepospo-litej wartości. „Kampania wrześniowa” będzie pomocą w wychowywaniu umy-słów w Polsce w duchu realizmu, który-go nam tak bardzo potrzeba, jeżeli mamy znaleźć miejsce we współczesnym świcie.

Józef Sieradzki

WŚRÓD KSIĄŻEK

Charakterystyki Literackie. Zeszyt nr. 2. Juliusz Kleiner. Ogniem i mieczem Henryka Sienkiewicza. Lublin, 1946; str. 32. — Zeszyt nr. 4. — Tenże. Potop Henryka Sienkiewicza. Lublin, 1946; str. 32.

Dwie książeczki profesora Kleinera, wydane w cyklu charakterystyk literac-kich, przeznaczonych głównie dla mło-dzieży klas licealnych, mogą być dla nas wzorem, jak pisać prosto, zajmując, nie rezygnując równocześnie z wysokich wartości naukowych. W drobnych rozdział-kach omawia znakomity uczonego gene-za, budowę, główne motywy akcji, charak-terystryki postaci, stosunek do prawdy historycznej i wartości powieści Sienkie-wicza. Nie ukrywa wad i niedociągnięć, usprawiedliwia z wielu pozornych zarzu-tów wypływających z niezrozumienia przez niektórych krytyków praw artysty do przekształcenia rzeczywistości histo-rycznej. Dla Kleinera „Ogniem i mieczem” jest wielką powieścią historyczną, ale jest także wspaniałą baśnią dla doros-tych. O drugiej książce „Trylogii” pisze prof. Kleiner: „Nie ma w „Potopie” jak w „Ogniem i mieczem” przelania dynami-ki dziełowej w nurt powieści. Jest to tylko powieść historyczna, ale jedna z najświetniejszych, której żywe postaci i żywe sceny przy wielokrotnym na-wet czytaniu zawsze przykuwają uwagę... Na przestrzeni kilku dziesięcioleci był to najświetniejszy literacki wyraz dążenia do państwowości własnej, niby, przewodnik ruchu niepodległościowego”. W pracy szkolnej i samokształceniowej w ten spo-sób ujmowane charakterystyki literackie mogą oddać wielkie usługi młodzieży i nauczycielstwu.

Teksty Literackie. 1. Dr Stefan Kawyn. Biblioteczka pozytywizmu polskiego. Wypisy z wybranych tekstów źródło-wych. Lublin, 1946; str. 104.

Wypisy ują docent Kawyn w 14 za-gadnień, rozpoczynając fragmentem z pamiętnika Aleksandra Świętochowskiego o początkach publicystyki pozytywistycz-nej, aby przybliżyć krytykę romantyzmu polskiego (Krupińskiego i Prusa) zana-jmując nas z głównymi przejawami walki młodych ze starymi i z najgłośniejszymi hasłami pozytywizmu, a zakończyć prób-ami walki z pozytywizmem i krytyką pozytywizmu ze stanowiska narodowego (Zulińskiego). Fragmenty z artykułów — w całości przypominano, tylko manifest Świętochowskiego pt. „My i Wy” — są wybrane na ogół szczęśliwie, słusznie u-szczelniono je również publicystyką wierszowaną (Świdziński, Ochowicz, Asnyk, Kononicki). Najciekawsze do głosu dopu-szczono Aleksandra Świętochowskiego i Elżę Orzeszkową, potem Bolesława Prusa. Całość zaopatrzył wydawca w wzięte przypisy i objaśnienia. Zgła-szam życzenie, aby następne wydanie wypisów rozszerzyć o pominięte lub nie-dostatecznie uwzględnione zagadnienia (rewolucjonizm historyczny, proletariát), co przyczyni się jeszcze do pełniejszego obrazu polskiego pozytywizmu.

Biblioteka Pisarzy Śląskich. Seria II. T. 1. Zdzisław Hierowski. Śląsk walczą-cy. Poezja i pieśń. Katowice, „Instytut Śląski”, 1946; str. 119 i 1 n.

Zdzisław Hierowski dał nam antologię, poprzedzoną obszernym wstępem i za-kończoną notami wydawcy. Zamiarem antologii było ukazać Śląsk walczący w historycznej kolej zdarzeń w utworach jego poetów. Ten chwalebny zamiar do-prowadził jednak wydawcę do wielu nie-konsekwencji i przeoczeń. Rozpoczął u-

rywkiem z „Obrazu dziejów Śląska dla Ślązaków” Józefa Łepkowskiego, aby po-kazać obronę Głogowa. Urywek jest bez wartości literackich, może mieć tylko wartość dokumentarną. W twórczości Zofii Kossak, Poli Gajowiczyńskiej, czy Gustawa Morcinka miał wydawca o wie-le ciekawszemu i bardziej wartościowemu fragmentu do ilustrowania innych wydarzeń historycznych Śląska, te jednak nazwi-ska właśnie zupełnie pominał. W dalszej części antologii pierwszeństwo dał Hierowski słusznemu poetom Ślązkom, ale u-względnił też pisarzy dorywcze związa-nych ze Śląskiem. Znalazło się miejsce dla Olgi Zarzyckiej i Józefa Relidzińskiego, ale nie starczyło już miejsca dla Przybosia, Stonińskiego, Zagadłowca, choć w ich dorobku są cenniejsze wiersze o Śląsku od przytoczonych. Pominię-to też wielu poetów stale pracujących dla Śląska, np. Gołbe, Kobielię, Zielicho-wskiego. W rezultacie nie dał Hierowski w swą antologię ani pełnego zbioru „do-kumentów”, ani tomiku o pełnej war-tości artystycznej, czyli Śląsk musi jed-nak dalej walczyć o swą pieśń.

Pamiętnik Instytutu Śląskiego. Seria II. Nr. 3. Zygmunt Izdebski. Niemiecka lista narodowa na Górnym Śląsku. Katowice, „Instytut Śląski”, 1946; str. 253 i 3 n.

Dr Paweł Rybicki w przedmowie do pracy dra Izdebskiego zwraca słusznie uwagę na wartość badawcze studium, powstającego w Komisji Socjograficznej Instytutu Śląskiego i na jego cele. Ma ono wyjaśnić, na jakim podłożu, jakimi drogami i przy działaniu jakich czynni-ków doszło do masowego zaplenu polskiej ludności Śląska na niemiecką listę naro-dową. Dr Izdebski do omawiania tych spraw ma wyjątkowo staranne przygo-towanie jako socjolog i prawnik. Duży ta-

lent publicystyczny badacza sprawiła, że jego pracę czyta się z niezwykłym za-jęciem, śledząc pilnie przebieg całego dramatu od pozornie niewinnego odci-sku palca, poprzez dalsze akty gwałtu, morderstw, zdrad, tryumfu „chacharów”, aż do błędnego koła nowych rehabilitacji i podstępów. Dr Izdebski nie oskarża, nie usprawiedliwia, opisuje tylko i wy-jaśnia. Przedstawia pracę i ciągłość pracy nad listą liczących dokumentów po-zwala czytelnikowi zdobyć się na własny sąd, w jak ciężkich warunkach żył i walczył Ślązak, ile go jeszcze czeka pracy nad skutecznym przeprowadze-niem koniecznej selekcji narodowości-owej i „moralnej”, nim cały Śląsk stanie się granitem o nieprzejednanej polskiej świadomości narodowej.

F. A. Ossendowski. Mocni ludzie. Po-wieść. Wrocław, „Książnica-Atlas”, 1946; str. 180.

Z licznych powieści Ossendowskiego ta właśnie doczekała się teraz wznowienia. Opowiada ona o osiedleniu powstańca Władysława Lisa, któremu dobrowolnie towarzyszy wierna żona, na dalekiej północy, wśród tajg, i o powol-nym zdobywaniu sobie przez Polaków nie tylko lepszych warunków życia i wręcz tak wyciekniętego wyzwolenia, ale szacunku i miłości miejscowej lud-ności, odnoszącej się początkowo nie-ufnie do przybyszów. Dobre opisy po-łow i łowów, obyczajów i wierzeń Sy-biraków, wśród których Tatarzy, Sa-mojedzi, Rosjanie, urozmaicają tę kro-nikę czynów „mocnych ludzi”. Kończąca przegrada z doktorem Haaze jest wpraw-dzie zbyt „cudowna”, ale nie psuje przy-jemności lektury.

Stefan Papée

TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

HISTORIA I FILOZOFIA

Oblicze Ziem Odzyskanych. Dolny Śląsk. Henryk Barycz. Ślązacy w polskiej kul-turze umysłowej na tle polsko-śląskich związków duchowych w przeszłości. Wrocław—Warszawa, „Książnica-Atlas”, 1946; str. 71 i 1 n. — 60 zł.

Biblioteka Zaranja Śląskiego. Nr. 1. Hen-ryk Barycz. Uniwersytet Wrocławski w przeszłości i teraźniejszości. Katowice, Instytut Śląski, 1946; str. 32. — 30 zł. — Nr. 2. Józef Widajewicz. Świętopełk Morawski a Bolesław Chrobry. Tamże; str. 22. — 25 zł. — Nr. 3. Michał Ambros. Bibliografia Śląska, jej stan obecny i za-danie na przyszłość. Tamże; str. 30. — 30 zł. — Nr. 4. Tadeusz Dobrowolski. Najstarsze drewniane kościoły śląskie jako znaki zamierzonej przeszłości. Tamże; str. 20. — 25 zł. — Nr. 5. Gustaw Morcinek. Wróżbita. Tamże; str. 46. — 30 zł.

Biblioteka Zrodół Historycznych. Nr. 1. Artykuły Henrykowskie. Wydał Zdzis-ław Kaczmarek. Poznań, „Księgarnia Akademicka”, 1946; str. VI i 18. — Nr. 2. Bulla Aurea (a. 1356). Wydał Józef Ma-tuszewski. Tamże; str. 37 i 1 n. — 60 zł. — Nr. 3. Konstytucja 3 Maja czyli tzw. „Ustawa Rządowa” z 3 Maja 1791 r. wraz z ustawą „Młasta nasze króle-wskie wolne w państwach Rzeczypospo-łitej” i „Zareczaniem wzajemnym objo-ga narodów”. Wydał Zdzisław Kacz-marek. Tamże; str. 30. — 30 zł. — Celiha Bobińska. W walce z caratem. War-szawa, 1946; str. 30. — 28 zł.

Dr Feleja Drzymala. Przyczytniki do hi-storii i działalności senatu w Polsce 1922—1926 roku. Warszawa, Wydawnictwo Popularno-naukowe w Warszawie.

Karol Górski. Państwo krzyżackie w Pru-sach. Gdańsk—Bydgoszcz, Instytut Ba-lyckiego, 1946; str. 295. — 300 zł.

Roman Grodecki. Powstanie polskiej świadomości narodowej. Katowice, In-stytut Śląski, 1946; str. 51 i 1 n. — 30 zł.

Biblioteka Toruńska. Kazimierz Hartleb. Mikołaj Kopernik. Toruń, „Księgarnia Naukowa”, 1946; str. 62.

Biblioteka Słowiańska. Nr. 1. Józef Wi-dajewicz. Słowianie zachodni a Niemcy w wiekach średnich. Katowice, Instytut Śląski, 1946; str. 44. — 50 zł. — Nr. 2. Józef Widajewicz. Weleci. Tamże, 1946; str. 22. — 40 zł. — Nr. 3. Roman Gro-decki. Powstanie polskiej świadomości narodowej. Tamże; str. 51 i 1 n. — 60 zł.

Polski Śląsk. Seria II. Nr. 1. Zygmunt Izdebski. Rzeka Odra. Zagadnienie prawa narodów. Wrocław, Instytut Śląski, 1946; str. 38. — 40 zł. — Nr. 2. Karol Małczyński. Wojna polsko-nie-miecka 1109 r. Tamże; 1946; str. 40. — 50 zł. — Nr. 3. Ewa Małczyńska. Pol-skie tradycje naukowe i uniwersytec-kie Wrocławia. Tamże; str. 84. — 100 zł. — Prace Slovaného Ustavu v Praze. Ka-rel Krejčí. Bartolomej Paprocký z Hlo-ho a Paprocké Vule. Život, díloforma a jazyk. Praha, 1946; str. 270 i 6 n. — 100 K. cs.

Szkoła krytyków O POEZJI CIĄG DALSZY

Zatem sytuacja poezji się pogorszyła. Dlaczego?

Głównym bodaj powodem są nadzieje, których poezja nie może dzisiaj spełnić. Nadzieje te nie zawsze były przez was, moi czytelnicy, uświadomione, ale istnia-ły i niespełnione odbijają się dzisiaj na poezji. Na pierwszym poranku literac-kim w Krakowie, zimą 1945 roku — sala była nieopalona i przepelniona — wolał bardzo znany i żarliwy prozaik: „Cze-kamy poezji, która przeorze dusze, która wstrząśnie sumieniami, która ukaże sens naszych walk, która zatarga duszą chło-pa, robotnika, każdego z nas!”

Bardzo szlachetne wolanie. Sądzę, że ów pisarz sformułował oczekiwania do-syć powszechne. Wolanie wszakże, które nie ze wszystkim się spełniło. Zanim zaczniecie winę składać na poezję — a już to zwolna zycimie, wycyfując dawany jej kredyt zaufania — chwilka namysłu nad tym postulatem. Dlaczego właśnie li-ryk i poeta ma być zobowiązany wyjaśniać sens faszyzmu? Dlaczego obóz koncen-tracyjny, fabryka śmierci, nalot dywano-woy, próba z Hiroshimą mają być do-brym tematem, nadającym się do wy-do-bycia z nich poetyckiego piękna, dosyć to trudno zrozumieć.

Jest to bowiem specjalnie polski prze-sąd, że wszystkie najtrudniejsze sprawy bieżącego życia rozwiązywać powinna poezja. Gorzej niż przesąd. Lenistwo du-chorwe odziedziczone po naszej tradycji literackiej, idącej od wielkich romanty-ków. Myślimy się przyzwyczajali, że głów-ne sprawy narodów i polityki rozwiązuje poeci i nieświadomie tę miarę spodzie-wań przykładamy zawsze do nowych pi-sarzy. Tymczasem geneza przyniesionych przez wojnę doświadczeń nie daje się ująć za pośrednictwem obrazu czy wzru-szeniu jedynie poetyckiego. Nawet wzru-szenia metafizycznego. Hitler to nie tyl-ko szatan. To również narzędzie. Geneza ta daje się ująć tylko myśli uzbrojo-nej w odpowiednie narzędzia poznawcze. Daje się odczuć przez zrozumienie hi-storycznych i gospodarczych powodów światowego imperializmu. Mądrzy publi-cyści, czujni essayści, jacyś filozofowie współczesności, świadomi tętna świata, to dla nich zadanie. Od nich oczekuje od-powiedzi.

A poezja? Tak na boczku, filiternie i estetycznie zerkając na skłócanie i wzbu-rzony świat? Na razie odbijmy dyskusję na ten temat. Przeczytajcie Jastruna, Mi-łosza, Przybosia, Wazyka, wiersze obo-zowe Holuja. Czy stała całkiem na boku?

Jednostronny byłby jednak sąd, że poezja dzisiaj nie ponosi żadnej winy w tym, iż jej pozycja się kurczy. Styl tej poezji bywa często trudny i wy-maga przygotowania, żeby w nim zam-akować. To prawda. Ale oprócz przygo-towania artystycznego istnieje pewien prostszy sposób ułatwiający dostęp na-wet do bardzo trudnej poezji. Nazwę go pokorą artystyczną czy może — pokorą wobec wiedzy i kompetencji.

Rozmawiałem niedawno na temat ame-rykańskiego widza i czytelnika z pisa-rzem przybyłym świeżo ze Stanów Zjed-noczonych. Skarżył się na różny bar-barzyńskie wymysły, jak na przykład prze-rabiany do tańca Chopin, ale mówił: „Ten sam człowiek, kiedy jednak cze-goś w utworze nie rozumie, raczej się wstydi. Powiada — może się myle, to widocznie moja wina. Nie przesądza z gó-ry. Bywa naiwny i prostaki często, ale nie bywa besserwisserem”.

Nie tylko za oceanem zdarzają się masowo takie osoby. W krajach euro-pejskich również. Natomiast w Polsce bardzo wielu ludzi przypomina tę c6-reczkę od sąsiadów, którą spotkałem wczoraj na schodach. „Mam dzisiaj bar-dzo głupie zadanie” — zaczęła mnie sama. „Dlaczego?” — „Bo nie rozu-miem, co nam pani zadała z rachunków”.

Nie bądźcie c6-reczką od sąsiadów. Przynajmniej wobec poezji. Nawet w Ameryce tego nie praktykują, a jest to kraj dosyć wzorcowy.

kjw

Ostatnie Sensacyjne Nowości Wydawnicze

STEFAN OTWINOWSKI

CZAS NIELUDZKI

Str. 130. — z 130. —

KRYSTYNA FUZAKOWSKA

MIEJSCE

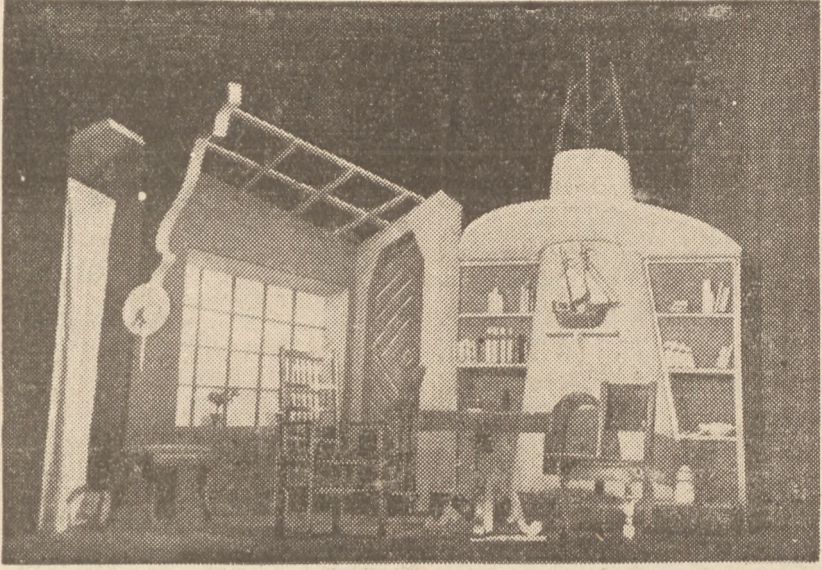
WŚRÓD LUDZI

Str. 170. — z 180. —

<

TADEUSZ PEIPER

„ZEGLARZ” W STARYM TEATRZE



Jedna ze scen w „Zeglarzu”

Nieważne, kto i kiedy to zaczął, dość że to zaczęło: rewidowanie bohaterstwa. Rewizjonizm ten ogarnął literaturę europejską, literaturę światową. Gorączkował, szalał.

„Zeglarzem” włączył się Szaniawski w ten ruch, ale z jaką odrębnością! Podszedł do sprawy z powagą zatroskanego mędrca, ze subtelnością wnikliwego poety, ze ścisłością sprawiedliwego sędziego. Rozpatrując stosunek legendy o bohaterze do rzeczywistego życia bohatera, uwzględnił wszystkie boki sprawy i wzdłuż każdego z nich — uważnie, pieczołowicie, sprawiedliwie — szukał wszystkiego, co mogłoby wnieść światło w tajemnicę.

Poznajemy tych, którzy wierzą w legendę o kapitanie Nucie, poznajemy ich motywy, gdy ją podtrzymują, choć stają wobec faktów, z którymi nie umieją sobie poradzić, poznajemy ich wewnętrzny stosunek do bohatera, stosunek obrzydliwy. O tym zespole ludzi, myśli i postępków słyszymy, że jest targowiskiem, na którym wywieszono napis „Kapitan Nut”, targowiskiem, na którym każdy chce coś kupić lub sprzedać. Takim to podtrzymywaczom legendy przeciwstawia się — dla bezinteresownej prawdy — młody badacz naukowy, który śladami wielbionego kapitana zjeżdżał morza i lądy i na podstawie swych badań, uzupełnionych potem wiadomościami z nieoczekiwanego źródła, doszedł do przekonania, że kapitan Nut nie tylko nie miał w sobie nic z bohatera, ale moralnie stał niżej od zwyczajnego porządnego marynarza.

Szaniawski rozwija akcję utworu pozornie na korzyść młodego badacza. Jego to twierdzeniem o niedopuszczalnej sprzeczności między legendą a rzeczywistością cały niemal utwór zdaje się przyznawać rację. Ogół widzów wychodzi z teatru z przekonaniem, że — dla zadośćuczynienia potrzebom społecznym — wzniesiono pomnik łotrowi.

A jednak jest w utworze kilka miejsc, które dowodzą czego innego. Autor dał każdemu z nich najmniejszy rozmiar, jaki dać było można, żadnego nie rozprowadził, żadnemu nie nadał nacisku, i jeszcze rozprószył je po całym utworze. Cztery ziarna rozrzucone w pełnym korcu. Trzeba dobrego oka, trzeba uciwłego oka, aby je zauważyć. Najwyraźniej chce Szaniawski, aby nie narzucały się one uwadze. Dlaczego tak chce, o tym później.

Burzyciel legendy przywiózł z podróży wśród wielu swych rewelacji także wieści o wyglądzie wielbionego kapitana, wieści składające się na portret brzydala, portret całkowicie odmienny od tego, jaki podaje legenda. Rzeźbiarz, który stworzył pomnik bohatera, przyłapuje go jednak na znamiennej sprzeczności: „Kiedyś tu wszedł, powiedziałeś „To jest kapitan Nut”. Skąd poznałeś, że to on? Zobaczyłeś pierwszym spojrzeniem takiego, jakiego widziałem ja. Więc... może był taki jak ten?” Chciał rzeźbiarz powiedzeniem swoim zakwestionować wartość stosowanej przez badacza metody wnioskowania, chciał wskazać na sprzeczność między jego rzekomo logicznymi

wnioskami a syntetycznym jego spojrzeniem na badanego człowieka. W obronie zaś własnej wizji — ostrożnie, bardzo ostrożnie — wypowiedział zdanie, że może kapitan Nut, choć w rzeczywistości był inny niż na pomniku, jednak w najistotniejszych swych chwilach czynił właśnie takie wrażenie jak ten z pomnika. Co odpowiadał naukowiec, nie wiemy, bo ledwie rzeźbiarz swą myśl wypowiedział, autor zapuścił kurtynę, zakończył akt. Uczynił to niezupełnie zgodnie z prawidłami dramaturgii, ale w znakomitej zgodzie ze swoim sposobem rozwijania sprawy. Nie chciał rozprowadzać kwestii, nie chciał kłaść nacisku. Poświęcił jej jedno powiedzenie.

Bezpośrednio wprowadza nas w sprawę sąd kobiety. Usta kochanki nigdy nie są źródłem pewnym, a tu są nim tym mniej, że są ustami kochanki porzuconej, z dzieckiem porzuconej, niepoślubionej. Inaczej mówiła ona o Nucie, kiedy go tylko kochała, a inaczej kiedy go nienawidziła z miłością. Inaczej kiedy rozmarzała się jego miłością, a inaczej kiedy zębami rozgryzała swój wstyd. A jednak! Sąd tej kobiety, taki, jaki dotarł do jej wnuka, który go nam wyjawia, jest dla Nuty całkowicie korzystny. Wnukowi zdawało się, że opowiadano mu o dwóch ludziach, jeden był marynarzem zwyczajnym, a drugi kapitanem Nutem, przy czym o tym drugim słyszał wszystko, co może być najpiękniejszego. O tym drugim mówiła kochanka, gdy była wolna od własnych grzechów wobec prawdy, ale gdyby uwzględnić wszystko, co opowiadała lub opowiedzieć mogła, otrzymalibyśmy jako ostateczny wynik ten właśnie sąd o Nucie, który utrwalił się w umyśle jej szlachetnego wnuka: czasem zwyczajny człowiek, czasem człowiek najpiękniejszego życia. Prawdziwszej i korzystniejszej opinii żadnemu bohaterowi nie trzeba.

O wiele pewniej i szerzej otwiera nam sprawę sam żeglarz. Zachował się urywek listu, w którym ostrzeża on kochankę, że jeśli pod jego nieobecność nie będzie się dobrze sprawowała, połamie jej kości. Ten urywek listu to jedyny autentyczny dokument, jaki zachował się po sławnym żeglarzu. Naukowiec, występujący przeciwko legendzie, wyciąga z niego wniosek, zdawałoby się najoczywistszy słuszny, że człowiek, który ten list pisał, bił swoją kochankę, a więc nie miał w sobie bohaterskiego piękna. Ale oto po dziesiątkach lat przywedrował Nut do swego rodzinnego miasta, przywedrował pod nazwiskiem, które dawno przybrał, i w rozmowie z żadnym prawdziwym badaczem daje wniósł owego listu. Daje w jednym zdaniu, które rzuca mimochodem, które rzuca i natychmiast porzuca. Daje je kilkadziesiąt lat po napisaniu obciążających go słów, daje je, kiedy może mówić pełną prawdę o sobie i kiedy niejedno złe o sobie mówi. W owym rzuconym i porzuconym zdaniu mówi tylko tyle: to nie listy piękne mówią o pięknej miłości! Bije w oczy naprzód jedno: patrzyła na swą miłość w kategoriach piękna, chciał miłości pięknej, i zapewne wiele piękna znalazł w miłości tej właśnie kobiety, której gro-

ził połamianiem kości. W powiedzeniu Nuty uderza jeszcze myśl, że nie wolno płytko rozstrzygać, jakie listy, jakie postęпки świadczą o pięknie. Myśl Nuty ukazuje we właściwym świetle wartość dowodową pisanego dokumentu, zwraca uwagę na ostrożność, z jaką należy wyciągać z niego wnioski, spycha w nieważność płytkie metody wnioskowania. Tą swoją myślą staje Nut tuż obok głębokiego artysty, tuż obok owego rzeźbiarza, który broniąc stworzonej przez siebie podobizny Nuty, przyłapuje badacza na chwiejności wyniku jego mozolnych badań. Jednak powiedzeniem swym nie wypiera się Nut brzydkich momentów, jakie wnosil w swą miłość, a tylko wyznaje, że miały być one ochroną piękna jego miłości. Ustanawia więc dwoistość, w której składnik brzydki nie wyklucza składnika pięknego, lecz jest jego warunkiem. Tak rozumiany list Nuty pozwala jego myśli o miłości przenieść na całe jego życie. Ono całe musiało mieć dwoistość z rzędu tych, które są połączeniem dwóch nierozdzielnych mocy życiowych, połączeniem, które — jako całość — podporządkowane jest marzeniu o życiu pięknym. Dlatego właśnie kochanka Nuty, gdy mówiła o nim pełną prawdę, mówiła o nim tak, że wnuk jej znajdował w tym wszystko, co może być najpiękniejszego.

Rozstrzygającym kryterium przy bohaterzacji jest dla wielu stosunek bohaterzowanego człowieka do śmierci. Legenda głosi, że Nut, przegrawszy bitwę morską, podpalił swój okręt i poszedł z nim na dno, badacz zaś znalazł starego marynarza, który podaje się za świadka katastrofy i którego oświadczenia przeczą legendzie. Mniejsza o to, że potem poznajemy niską wartość moralną tego świadka i mamy prawo wątpić o wartości dowodowej jego zeznań co do działania śmierci na Nutę, które na pewno przedstawia on w zgodzie z własną niechwalebą psychiką. Ważne jest co innego, ważne jest to, że my sami własnymi oczyma możemy stwierdzić, jak zachowałby się Nut w obliczu śmierci, gdyby ona potrzebna była wielkiej sprawie. Bo przecie Nut umarł, umarł jak niewiele umrzeć potrafi. Umarł, gdy wyżył się swego nazwiska obrastającego coraz bardziej sławą, gdy wyrzekł się bogactw, w jakie mógł opływać, gdy tulał się samotnie, nikomu bliżej nieznanym. Trzeba było mieć wielką duszę, aby wzgardzić tymi wszystkimi dobrami, jakimi by osładzano jego życie, gdyby był chciał z legendy skorzystał. Dobrze wie (i mówi to), że burzyciele legendy skazani są na niepowodzenie, że legenda utrzyma się, a jednak on nie chce być jej bohaterem — żywym.

Z ziaren, zagubionych w pełnym korcu, wyłuskujemy dane, z których wyziera ku nam piękno i bohaterstwo kapitana Nuty. Dlaczegoż to tak trudno znaleźć je i wyłuskać? Cały niemal utwór zajmuje się odkrywaniem brzydoty bohatera lub ukazywaniem brzydoty stosunku do bohatera, a na jego dodatnie wartości wskazują tylko kilka powiedzeń, nie zaakcentowanych, nie rozprowadzonych, nie skupionych w wyrazistą całość, powiedzeń, które przemijają tak szybko, że toną w innych o wiele obszerniej rozwiniętych, o wiele bardziej efektownych. Dlaczego? A, bo to, co tu uczynił Szaniawski, czyni także życie. Los niejednego bohaterstwa tkwi w tym właśnie, że nie łatwo daje się ono sprawdzić, że jego istota ginie oczom, przywalana masą drobiazgów, wśród których nie brak brzydkich postępków, i że trzeba szczególnych okoliczności, aby mogło być poznane to, co do wydania sądu jest niezbędne. Że Szaniawski nie uległ pokusie wysunięcia na ogólny widok odpowiedzi na dręczące wszystkich pytanie, jaki był Nut rzeczywisty — że żadnej z osób dramatu nie powierzył funkcji zebrania w całość rozproszonych dowodów dodatnich — że żadnej z osób dramatu nie włożył w usta ostatecznego wyniku — to jest najbardziej dramatyczną i najbardziej wzruszającą właściwością jego utworu, to jest

także świadectwem głębi autora, głębi jego umysłu i jego sztuki.

Dwoisty obraz, jaki wytworzyli sobie na podstawie kilku miejsc utworu dotyczących przeszłości żeglarza, znajduje potwierdzenie w człowieku, jakiego po dziesiątkach lat widzimy i słyszymy bezpośrednio. Jako starzec jest Nut dalszym ciągiem kapitana Nuty wyłuskanego nie bez trudu z masy dezorientujących drobiazgów. Kto tak myśli, mówi i działa, jak on teraz, ma w sobie wielkość i miał w sobie wielkość. Tak, Nut przerasta wszystkich ludzi dramatu jak jego pomnik. Małość i głupota otaczających go ludzi sprawia, że zmuszony jest ze swego życia, bohaterskiego i pięknego jako całość, skazać na niepamięć to wszystko, co w tym życiu było zwyczajne lub brzydkie; małość i głupota otaczających go ludzi sprawia, że broni legendy o sobie nie dla tych, którzy ją szerzą a którzy jej nie przeżywają, lecz dla entuzjastów, których widzi niestety już tylko w dzieciach wielkich i małych. Sposób, w jaki Szaniawski konfrontuje starego Nutę z jego przeszłością, jest jeszcze jednym wyrazem jego głębi artystycznej.

W ogóle jako dzieło sztuki jest „Zeglarz” utworem wysokiej miary. Jak w arcydziełach, każde zdanie jest niezbędne dla jakiegoś boku sprawy, każde daje się odnieść do samego jej środka, a żadne nie może być ujęte w pełni swego znaczenia bez ścisłego powiązania z całością.

Szczególnie w dwu pierwszych aktach organiczność „Zeglarza” osiągnęła stopień doskonałości. Równie doskonały jest w tej części utworu sposób rozwijania tematów; rozmowy posuwają się naprzód ze świetnie utrzymaną miarowością, wywołują wrażenia znakomicie ustosunkowane, ich skrety przygotowane są mistrzowsko. W akcie ostatnim restauracyjka jako miejsce akcji krepuje możliwości autora i spycha go w zbyt powierzchowną groteskę.

Przedstawienie „Zeglarza” w Starym Teatrze wychodzi z innego poglądu na utwór niż ten, jaki ja tu podałem, i nie wzbogaca jego teatralności, lecz na odwrót. Reżyser p. Ziemiński wśród wielu luzów nie uniknął jednego, niewybaczalnego: nie wydobywa wpływu, jaki na stosunek Nuty do legendy i pomnika ma motyw dzieci i „dzieci”. Kapitan Nutę ujmuje p. Madaliński niezgodnie z utworem, ale konsekwentnie, obdarza swego żeglarza skomplikowanym w treści uśmiechem, zagadkowym spojrzeniem i niepozabawionymi ekspresji rzutami bark, ale niesłusznie każe mu pić wódkę tylko dla wódki, bez żadnego związku z dramatycznymi momentami jego wypowiedzi. Zwraca uwagę p. Szymański charakterem środków groteskowych. Poniżej dopuszczalnego poziomu biedzi się p. Klimczakówna. Wyimkowym traktowaniem wnętrza mógłby p. Stopka dać utworowi więcej, gdyby więcej dał mu reżyser.

Tadeusz Peiper

„FESTIVAL SZTUKI” W LUBLINIE

„Festival sztuki” w Lublinie objął imprezy z różnych dziedzin sztuki: przedstawienia teatralne, poranki i popołudniówki literackie a nawet wystawy etnograficzne i wystawę książek. Przeważały jednak imprezy muzyczne: koncerty symfoniczne i koncerty chórów — z kilku głosnymi nazwiskami jak Stefan Rachon, Maria Sowińska, Stanisław Szpinalski. Ogrom pracy włożył w „Wesele lubelskie” Bronisław Lubicz-Nycz, dając w skrócie sceniczny syntezę kultury ludowej. Widowisko osiągnęło wysoki poziom. Za materiał do „Wesela lubelskiego” posłużyły pieśni, które z oddaniem gromadził przez długie lata Walerian Batko. Zanikające tańce ludowe zdołała uratować przed zapomnieniem Zofia Ruszczewska-Kowalska. Stroje ludu lubelskiego zebrał i opisał Janusz Świeży. W drugim dniu festiwalu otwarto na Kalinowszczyźnie pierwszy w Lublinie Dom Kultury. Łączy on w sobie wyniki długoletnich doświadczeń i postulatów kół oświatowych. Zamiast świetlicy fabrycznej postanowiono stworzyć robotnikowi piękny dom w dzielnicy jego zamieszkania. Sala teatralna ma kilkadziesiąt miejsc, sala biblioteczna, czytelnia, sala rozrywek — oto obraz zewnętrzny. Na program zajęć złożą się prace wszystkich związków artystycznych. Ogłoszono konkurs na wiersz o pracy; będzie się prowa-

dziło wieczory dyskusyjne o charakterze społecznym i kulturalnym. Wreszcie wystąpienia zespołów robotniczych mają wyłonić wzorowy teatr TURU, który by obsługiwał inne ogniska kultury.

Można wierzyć organizatorom festiwalu, że się utrudzili i spracowali, gdy się weźmie pod uwagę całość i poziom imprez. Nie był to zielek imprez, lecz przemyślana całość, przygotowana przez organizację kulturalną takie jak filharmonia, teatr, szkoła dramatyczna, Towarzystwo Muzyczne i Związek Literatów.

Naczelnik Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki a zarazem przewodniczący komitetu, Nikodem Józef Kłosowski, podał trzy cele festiwalu: 1) pokaz dwuletniego dorobku od czasu wyjazdu Rządu, 2) manifestacja hasła: kultura dla wszystkich, 3) realizacja hasła: przymierze konsumenta z twórcą, artyści ze światem pracy.

Starano się dać maksimum. W części muzycznej przedstawiono współczesnych kompozytorów, jak Roma na Palestrę (opracowanie polonezów Ogińskiego), Tadeusza Szeligowskiego (Suita lubelska) oraz Piotra Perkowski (Symfonia). Występ gościnny pianisty Stanisława Szpinalskiego i skrzypka Stefana Rachonia dodały świetności osiągnięciom zespołu filharmonii.

Jedną z ambicji festiwalu było



Scena z „Pana Jowialskiego” granego w ramach „Festivalu Sztuki”: K. LORENZ i L. WOLEJKO

szukanie nowych dróg. W ramach upowszechnienia kultury muzycznej ważną pozycję stanowi muzyka operowa. Twórcy festiwalu stanęli na stanowisku, że unuzycialnienia mas nie osiągnie się od razu. Jednym ze stopni jest połączenie muzyki wokalne z wątkiem fabularnym. Potrzebę tak podbudowanej muzyki wyraził p. Bechczyc-Rudnicka, stwarzając operomontaż. Cykl tak pomyślanych operomontaży rozpoczęło Towarzystwo muzyczne wraz z Biurem Koncertowym przez wystawienie „Halki”.

Nowym momentem na tle występów literackich był poranek poetów ludowych, który odkrył słuchaczom

samorodny talent poetki 70-letniego Stanisława Bojarczuka. Ten człowiek, nie umiejący pisać ortograficznie, mówi swobodnie o mitologii, ma kilkaset sonetów dorobku, zna na pamięć „Pana Tadeusza”.

Nowe i ciekawe ujęcie znalazł „Pan Jowialski” w ujęciu artysty L. Wollejki: to nie dzieciństwa staryszek powtarzający jak papuga swoje przysłowia, lecz doskonały obserwator życia ówczesnego, widzący w przysłowia wyraz prostego rozumu chłopskiego, a w otoczeniu wieczną komedię pomyłek i nieporozumień.

Szkoła dramatyczna dała kilka inscenizacji poezji trzech wieszczów.

Jeśli inscenizacja wyjątków „Pana Tadeusza” budziła liczne zastrzeżenia, to inscenizacje fragmentów z „Marii Stuart” lub „Irydioną” były bez zarzutu.

Czy festiwal spełnił swoje zadania? Dał przegląd dwuletniego dorobku, wykazując w każdej dziedzinie wielkie osiągnięcia. Kultura dla wszystkich nie jest czynnikiem, lecz żywą treścią. Dowodem tego był tłumny udział widzów i słuchaczy we wszystkich imprezach, nawet tak nieefektywnych jak poranki literackie. Świadczy to o głębokim nurcie kulturalnym na dalekiej prowincji.

Stanisław Peters

PRZEGLĄD PRASY

Regionalizm ma wiele danych, aby stać się przedmiotem ożywionej dyskusji, zarówno jeśli chodzi o jego założenia, jak i o formy, w jakie się obleka. Jednym z przykładów — tylko jednym z wielu — żywotności idei regionalnej jest rozwój regionalnego czasopiśmiennictwa, racjonalny i nie nadmierny, jakkolwiek już bliski stanu nasycenia.

Pomyślana jako centralny organ krajoznawstwa warszawska „Ziemia” jest zarazem w pewnej mierze centralnym informatorem w zakresie regionalizmu, muzealnictwa, osobliwości folklorystycznych, historii regionów itp. Dalej idą czasopisma o zainteresowaniach ograniczonych terenowo, poczynając od „Szkarp Warszawska”, wydawnictwa jedyne w swoim rodzaju, któremu szczególna racja ukazywania się (zniszczenie milionowego miasta, które mimo to trwa) zapewni odrębne miejsce w historii prasy — poprzez czołowe czasopisma regionalne jak śląska „Odra”, śląski „Śląsk”, pomorska „Arkona”, łódzko-sandomierskie „Cychry” i t. d. — a kończąc na takich wydawnictwach, jak „Szczecin” lub niedawno wskrzeszona „Gazeta Podhalańska”. Cechy pewnej regionalności posiadają zresztą i niektóre inne periodyki, w założeniu nieregionalne, jak „Warszawa”, „Kamena”, „Zdrój”, „Życie Literackie”. Stwierdzenie to nie jest krytyką a priori.

Bydgoska „Arkona”, miesięcznik o poziomie niezbędny wyrównaniem, po trosze przypomina „Cychry”, po trosze „Odrę”. W numerze 11 chciała „Arkona” artykułami S. Helsztyńskiego i T. Niesiołowskiego podtrzymać pamięć o Kasprzewcu i Przybyszewskim w dniach ich rocznic. Artykuł w „Arkonie”, szkicujący sylwetki Bogusława X i Rąbora Piasta, „pierwszego admirała polskiego”, stanowi pomorski odpowiednik historycznych przyczynków, w których tak specjalizuje się „Śląsk”.

„Śląsk” jest dziś pod względem graficznym i pod względem wyposażenia zewnętrznego najbardziej luksusowym i reprezentacyjnym — po „Problemach” — miesięcznikiem polskim, godnym stanąć obok tego rodzaju wydawnictw zagranicznych. W numerze 5—6 przynosi interesujące przyczynki, obrazujące podwójny typ łączności Wrocławia ze sprawami polskimi: w średniowieczu Wrocław jako miasto polskie etnicznie i kulturalnie, w ubiegłym wieku Wrocław jako miejsce studiów uniwersyteckich i częsty cel odwiedzin turystów polskich, miasto wówczas niemieckie, a przecież i wtedy nie tak obce, jak miasta na niemieckiej ziemi. Nadto w zeszycie szkic L. Łakomego, „Skąd pochodzi nazwa Śląsk”, dość powierzchowny artykuł Zdz. Hierowskiego o „Drogach literatury polskiej”, wreszcie kończąca „Kronika” i wielce kapryśnie zestawione recenzje „Z książek”.

Zagadnienie stopnia świadomości narodowej u ludności ziem Polski ma pod względem moralnym i państwowym wielką wagę i dobrze, że znajduje omówienie tak poważne i otwarte, jak na to zasługuje i jak

tego niezbędnie wymaga. O ile chodzi o ludność Śląska, stała się ona ostatnio tematem artykułów Wilhelma Szewczyka w „Odrze” (nr 36). O poczuciu polskości Ślązaków powiada Szewczyk — sam z krwi i kości Ślązak, — że i dziś nie jest ono jeszcze „pełne”, że i dziś jest regulowane „zjawiskami ekonomicznymi”. Ślązacy stali się z ludności kresowej mieszkańcami niemal środka Polski: to stawia problem wychowania narodowego w nowych, bez porównania korzystniejszych warunkach; rozstrzygające znaczenie przypada jednak czynnikowi czasu. Nie zapominajmy, że odrodzenie narodowe Śląska nastąpiło niemal w ostatniej chwili, podobnie jak odrodzenie Kaszubów.

Kaszubi zresztą — w przeciwieństwie do uświadomionych Ślązaków — jeszcze ciągle miewają nawroty „nadregionalizmu”. Odwrotnie również niż regionalizm góralski, który w szybkim tempie — mimo spóźnionych wysiłków rozmaitych entuzjastów — zamiera i wątpię, by kiedykolwiek wskrzesił — ruch kaszubski utrzymuje się na powierzchni życia, krzepnie nawet i wykazuje silne tendencje zaborcze wszędzie i w głąb, zwykle zamknięte w ramach regionalizmu, choć nieraz rozrastające się do separatyzmu. Żywotność i ekspansywność regionalizmu kaszubskiego są niewątpliwie. Poglądy nań — wstrzemięźliwe i nie dziw, że właśnie takie.

Lech Buntkowski („Ewolucje krajowości kaszubskiej”, „Tydzień”, nr 13) twierdzi, że ruch kaszubski przekształca się ostatnio w wielki ruch „krajowości pomorskiej”. Sprawa kaszubska — powiada — w okresie międzywojennym toczyła się „niemal na płaszczyźnie antypaństwowej”. „Obecny ruch pomorski, który jest rozszerzeniem kaszubskiego, bazuje się na zasadzie krajowości”. Ruch ten, zdaniem Buntkowskiego, „wolny jest obecnie od czynników odśrodkowych”: „krajowości” pomorska „utrwała wartości własne i wzbogaca tym sposobem wartości ogólnonarodowe”. Podobnie formułuje swój sąd Szewczyk: „przez rozwój pierwiastków kultury regionalnej bogacie kulturę narodową”. To słowa często bez pokrycia. Faktem jest, że ruch kaszubski nie przejawia dziś na zewnątrz separatyzmu, a częściowo tylko pozwala dojść do głosu tym objawom, które nazwał „nadregionalizmem”. Przerosty regionalizmu istnieją niewątpliwie i zwróciłem na nie uwagę, charakteryzując na tym miejscu wejherowską „Zrzesz Kaszubska”. Ze spostrzeżeniami moimi pokryły się niemal w zupełności uwagi, które w „Arkonie” (nr 11) ogłosił Andrzej Bukowski, jeden z najlepszych znawców zagadnień kaszubskich. Swego czasu pisał Bukowski w „Strażnicy Zachodniej” (nr 45): „Zrzesz Kaszubska” swoje przedwojenne konto obciążała tendencjami odśrodkowymi i skompromitowała się choćby tym, że jej twórca i główny redaktor, Aleksander Labuda, stał się w czasie wojny volksdeutschem”. Kropka nad i: „Dzisiaj przedwojennych tendencji w tym piśmie nie ma, jednak w dalszym ciągu nie budzi ono zaufania”. Zasadniczo biorąc, nie ma Bukowski wobec dzisiejszej działalności regionalnej na Kaszubach żadnych zastrzeżeń. Niemniej trzeba stwierdzić, że był początkowo krótki okres, kiedy pewnym czynnikiem zależało na wykozystaniu odrębności Kaszubów, obiecano im wiele, aż do autonomii włącznie. Autor twierdzi, że „od-

osobnym tendencjom przeciwstawił się zdrowy instynkt Kaszubów”. Czy się istotnie przeciwstawił? Pisząc („Arkona”, nr 11) o „Ostatnim z trójcy młodokaszubskiej” (zamordowanym przez Niemców jesienią 1939 r. ks. Leonie Heyke) za dowód, iż ks. Heyke „w swym kaszubologizmie nie posuwał się nigdy do skrajności” uznał Bukowski to właśnie, że „do końca był konsekwentnym przeciwnikiem „Zrzeszy Kaszubskiej”. A przecież nawet ów umiarkowany ks. Heyke głosił jakąś trójczonowość słowiańskiej Lechii: polsko-pomorsko-połabską. Pisał: „Do zaginionego połabskiego najwięcej podobne jest narzecze luzińskie, do dawniejszego pomorskiego z czasów ks. Świętopelka obecne południowo-kaszubskie. Kaszubi nie są osobnym narodem, lecz tylko szczepem narodu lechickiego, którego szczepem są i dzisiejsi Polacy”. Niby to samo — ale nie to samo.

O Kaszubach pisze też Szewczyk („Gdzie je Kaszub końc”, „Odra”, nr 35), ale tego tematu „nie czuje” i uwagi jego są w typie raczej dziennikarskim: rażą uproszczenia, razi podciągnięcie pod jeden strychulec Derdowskiego — Polaka kaszubskiego i Ceynowy — kaszubskiego narodowca, którego stosunek do Polaków nie wyrastał ponad równie życzliwy stosunek do Rosjan.

Obok śląskich — problem autochtonów mazurskich (w „Kuznicy”, nr 39, H. Ułaszyn wniósł się w dyskusję onomastyczną, optując za nazwą „województwo pruskie”; racje lingwistyczne przytacza profesor na pewno niezbitę, a jednak przekona się, że życie jest silniejsze od teorii i że zwycięży nazwa „województwo mazurskie”). W przeciwieństwie do Śląska i Kaszubszczyzny — dla Mazurów oswojenie przyszło niejako za późno, ich stopień uświadomienia — poza wyjątkami — był i jest minimalny. Praca musi tu być prowadzona od podstaw, praca żmudna, obliczona na lata a raczej na pokolenia, mająca do zwalczania również urazy powstałe wskutek wyjątkowo brutalnego i długotrwałego najazdu wszelkiego rodzaju rzeźmieszków.

Do tego zakresu spraw należy również problem resztek autochtonów pomorskich, zwłaszcza z ziemi Złotowskiej, Bytowskiej i Człuchowskiej, którzy wzięli udział w niedawnym Zjeździe Kaszubskim w Szczecinie. Odbywa się tu niewątpliwie proces scalenia z Kaszubszczyzną wschodnią, proces godny pozytywnej oceny. Ten wykluwający się „nadregionalizm” kaszubski, nawiązujący nawet do tradycji państwów pomorskich, mało jeszcze znajduje oświetlenia w prasie; a zasługuje na to.

Trzeba tu wreszcie przytoczyć głos „Odry” (nr 36) w sprawie tej części tubylczej ludności dawnego niemieckiego pogranicza, która uszła lub została wysiedlona do Niemiec i tworzy tam obecnie zespoły „heimat-treuen Schlonsaken, Kaschuben und Masuren”. Teza „Odry”: „Ci wszyscy Niemcy, z pochodzenia i tradycji rodzinnej Polacy, powinni być zostać w Polsce, gdzieś z dala od swych rodzinnych stron, gdzie pracą zapłaciliby za odstęstwo narodowe”. „Odra” nie wątpi, że ludziom tym można by przywrócić świadomość narodową. Zapewne się nie myli. Ale rzecz w tym, że ci ludzie sami chętnie uciekali do Niemiec, albo cisnęli się do biur wysiedleńczych. Dopiero obecnie płaczą gorzko nad swą omyłką.

jaszcz

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA • CZYTELNIK •

JUŻ NA PÓLKACH KSIĘGARSKICH

ARKADY FIEDLER

KANADA PACHNĄCA ŻYWICĄ

STRON 246

CENA: 250 ZŁ

ARKADY FIEDLER

ZWIERZĘTA Z LASU DZIEWICZEGO

Z ILUSTRACJAMI

J. WRONIECKIEGO, A. NIEMCZEWSKIEJ I R. PRZYBYSZEWSKIEJ

STRON 146

CENA: 200 ZŁ

BIBLIOTECZKA MŁODEGO CZYTELNIKA
PRZEKŁADY Z LITERATUR OBCYCH

TOMIK I

ARKADY GAJDAR

TIMUR I JEGO DRUŻYNA

STRON 90

CENA: 75 ZŁ

LEON KRUCZKOWSKI

KORDIAN I CHAM

WYDANIE PIĄTE

STRON 288

CENA: 240 ZŁ

ANTONI SŁONIMSKI

WYBÓR POEZJI

Z PORTRTEM AUTORA

STRON 198

CENA: 240 ZŁ

ST. JODŁOWSKI I W. TASZYCKI

ZASADY PISOWNI POLSKIEJ I INTERPUNKCJI

ZE SŁOWNIKIEM ORTOGRAFICZNYM

WYDANIE PIĄTE

STRON 207

CENA: 80 ZŁ

BIBLIOTECZKA MŁODEGO CZYTELNIKA

TOMIK 7

WANDA WASILEWSKA

SKRZYDŁA U RAMION

OPOWIADANIE

STRON 35

CENA: 30 ZŁ

Zaprenumerować

„ODRODZENIE”

można w każdym urzędzie pocztowym

Prenumerata kwartalna 120 zł

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

ŻYCIE MUZYCZNE W KRAKOWIE

Koncerty Filharmonii są na razie jedyną placówką, wokół której koncentruje się cały ruch koncertowy w Krakowie. Wieczory kameralne, a nawet tak liczne w zeszłym sezonie, regularnie odbywające się recitale solowe nie zostały dotąd uruchomione głównie z powodu zastój w Biurze Koncertowym Związku Zawodowego Muzyków, którego podstawy materialne zostały zachwiane. Sprawa jest bardzo poważna i musi być w najbliższym czasie załatwiona.

Chodzi nie tylko o naszych artystów, którzy pozbawieni są jakichkolwiek możliwości występów solowych, nie tylko o publiczność, dla której ta kategoria koncertów stanowi jedną z największych atrakcji i które ją dzięki temu wychowują, ale przede wszystkim o moment organizacyjny-społeczny. Biuro Koncertowe Związku Muzyków było pierwszą i jedyną — jak dotąd — instytucją u nas, która pracę swą opierała na zasadach nie prywatnej kalkulacji impresariów, ale traktowała ją z punktu widzenia jej wartości oświatowo-kulturalnych. Miało ono na celu pośrednictwo między wykonawcą a słuchaczem, pragnęło dla słuchacza odpowiednio dobierać programy, dbać o należyty poziom, artystycznie zaś umożliwić publiczne występy. Niestety okazało się, że zrozumienia tej społecznej roli nie posiadają inne czynniki, tzw. „miarodajne”, których współdziałanie niezbędny jest w akcji koncertowej: oplaty za salę, podatki i inne podobne świadczenia zabity inicjatywę w zarodku. Są one tak wielkie (zwłaszcza brak sal dla jednej Kasy Koncertowej, która często okazuje się za szupła, wszystkie inne sale należą w Krakowie do Zarządu Kin, który jest tu głównym winowajcą), że urządzenie koncertu niedoficytowego jest prawie niemożliwością.

W tych warunkach dawny Zarząd Biura Koncertowego Związku, mający za sobą tak piękne tradycje w ubiegłym sezonie zrezygnował a nowy chyba nie będzie mógł uruchomić Biura wcześniej, niż te trudności organizacyjne nie zostaną usunięte. Miejmy nadzieję, że to się stanie w najbliższej przyszłości. Nie będziemy chyba wracać do prywatnej „przedsiębiorczości” przedwojennej. Nie na to Związek przemysłał do gruntu wszelkie sprawy związane z nową organizacją Biura, walcząc musiał nie tylko z tysiącami trudności, ale niejednokrotnie i ze starymi nawykami myślowymi, by stanąć teraz przed kompletnym flakiem i to flakiem spowodowanym właśnie przez tych, którzy powinni stać na straży nowych zasad organizacyjnych.

Koncert filharmoniczny w dniu 18. X. prowadził młody kapelmistrz Tadeusz Wilczak, który powrócił obecnie na stałe do Krakowa jako kierownik działu muzycznego w Polskim Radiu i z którego nazwiskiem łączymy na tym terenie duże nadzieje artystyczne.

Centralnym punktem programu, dyrygowanego przez Wilczaka, była Symfo-

nia d-moll Cezara Francka, dawno nie słyszana w Krakowie. Jest to niewątpliwie muzyka piękna i wartościowa, pełna szczerości i polotu, choć to połączenie tradycji bachowskiej z gestem typowym romantyka niekiedy odpowiada dzisiejszemu słuchaczowi. Mimo głębokiej inwencji, bogactwa melodii i harmonii, nie potrafi Franck ustrzec się pewnej akademickości wyrazu, zwłaszcza, że formy tego wyrazu, zawsze bardzo własne, są jednak dość ograniczone i czasem trochę nużą jednostajnością. Wilczak poprowadził Symfonię Francka z romantycznym polotem i trafnym wyczuciem wszystkich jej piękności muzycznych, ściśle konstrukcyjnych, umiejętnie rozkładał barwy orkiestry i odcienie dynamiczne, jedynie w pierwszej części można było życzyć sobie szerszej linii w prowadzeniu tematów.

Z dużą starannością poprowadził też wykonanie poematu symfonicznego Piotra Rydla pt. „Korsarz” (według Byrona). Utwór ten, pochodzący z ok. 1910 roku, jest świadectwem wpływów Wagnera i Ryszarda Straussa w polskiej twórczości symfonicznej, zarówno ze względu na sam fakt przyjęcia pewnego określonego programu literackiego, jak języka i środków wyrażenia się; równocześnie jest świadectwem, że wpływy te były raczej zewnętrzne, nie przejęły bowiem Rytel od Straussa ani zwartej formy jego poematów symfonicznych, które najczęściej trzymają się jakiegoś konkretnego schematu muzycznego o przekonywującej sile konstrukcji, ani jego świetnej instrumentacji, ani jego smaku, który już w wielu punktach przebrzmiał, ale zawsze wirtuozowskiej. Toteż kompozycja przechodzi bez wrażeń, bez poczucia jakiejś wewnętrznej konieczności, która jej dała życie, a interesuje przede wszystkim jako kryterium porównania, jaki był nasz dystans w stosunku do Zachodu przed 30 laty i jak obrzymiej pracy dokonała w tym zakresie „Młoda Polska” z Szymanowskim na czele, nie mówiąc już o kompozytorach młodszej i najmłodszej generacji. W obliczu tych faktów kampania prasowa prowadzona przez prof. Rydla przeciwko „nowej” muzyce musi pozostać bezsilna. Żywe dzieła zawsze są lepszym argumentem, aniżeli najbardziej przekonujące napisane artykuły.

Solistą wieczoru był Henryk Sztompka, który odegrał z towarzyszeniem orkiestry Chopina Koncert f-mol. Znakomite opanowanie instrumentu, piękny ton (zwłaszcza w pianach), wirtuozowska technika — oto atuty, z którymi Sztompka przystąpił do wykonania arcydzieła chopinowskiego, dodając na bis Polonez es-moll, 2 Etiudy i Walca. Można wprawdzie dyskutować nad interpretacją rubata czy kantylemy ornamentów, ale musi się zawsze podziwiać wysoką klasę pianistyki Sztompki.

Stefania Łobaczewska

NAGRODZONE UTWORY DRAMATYCZNE



KRYSTYNA GRZYBOWSKA otrzymała trzecią nagrodę za sztukę „Siostry” na konkursie ogłoszonym przez Miejską Radę Narodową miasta Krakowa.



WŁADYSŁAW BODNICKI otrzymał drugą nagrodę za sztukę „Komediant” na konkursie ogłoszonym przez Miejską Radę Narodową miasta Krakowa.

KRONIKA FILMOWA

„Niebo jest dla was”, film produkcji francuskiej.

„Niebo jest dla was” to historia pionierów lotnictwa sportowego, małżeństwa Gauthier, których ambitne dążenia, godne lepszej sprawy, nie byłyby wcale tak interesujące, gdyby owo studium psychologiczne, z nikłym wżęciem dramatycznym, nie zostało ukazane w doskonałej grze i nie było fotografowane wśród świetnych obrazków rodzajowych. Bo cóż? Ze właściciel garażu, dobijający się do dobrobytu materialnego, dostał nagłe fioła na punkcie samolotów, i że później zaraził tym swoją żonę? Ze oboje poświęcają spokojny byt dla ryzykownych i rujnujących rekordów? Ze zaniebują dom i krzywdzą tym dzieci, a zwłaszcza córkę, obiecującą pianistkę? Nic w tym nie ma tak wiele chwalebne. Autor scenariusza tłumaczy ich przez usta jednej z postaci, maestra muzyki, że jest to wyższa forma miłości tych dwojga, którym nie wystarczy dla jej afirmacji byt mieszczuchów; potrzeba im zjednoczenia we współpracy heroiczej.

Punkt kulminacyjny akcji — lot Teresy Gauthier na maszynie z trudem wypichonej do startu, nieprzygotowanej, szaleńczej, zakończony jednak tryumfem — to niewątpliwie smaczek reżyserki. Zwycięstwo było bowiem zarazem zwycięstwem nad upodokiemieniem do życia i jego powściągnięciem, domu — do brzo ubranym i chowanym dziecku, pewnego konta bankowego. Idée fixe, ale w granicach dostępnego człowiekowi horyzontów. W akcji ten moment dramatyczny został doskonale utrzymany, bo katastrofa Teresy zdaje się być pewna. Mąż powraca do rodziny i nie umie powiedzieć nic na swoją obronę ani dzieciom, ani matce żony. Nie mogą zrozumieć, że poświęcił ukochaną kobietę nie z braku, ale z nadmiarem miłości. I z tego dna nieszczęścia wydobywa go na powierzchnię wiadomość o niesłychanym sukcesie: Teresa żyje i pobita rekord.

Film warto zobaczyć dla wykończonych w drobniakach gry — przede wszystkim Charlesa Vanela (Piotr Gauthier). Jego poczciwa twarz, twarz herosa z tłu, nieporadna postać i ogień w oczach — to szczyt charakterystyki, o ile charakterystyka była w ogóle potrzebna. Wycieknięcie na lotnisku na wiadomość o locie, rozpacz, skupiony ból w rozmowie z dziećmi na zadeszczonym dworcu — to pokaz gry, do której już nie dodać nie można. Teresą była Madeleine Renaud, artystka Komedii Francuskiej. Czy najlepsza w swej roli? Można by było na to odpowiedzieć, gdyby ktoś inny jeszcze spróbował ją zagrać. W każdym razie nie dorównała swemu partnerowi.

„Zjazd na rozdrożu”, film produkcji angielskiej.

Dziwne śpiewie metafizyki z propagandą. Rzecz o podłożu pedagogicznym, stworzona na użytek wojenny, ku obudzeniu sumienia społeczeństwa angielskiego — wykracza jednak poza ramy zwykłej propagandy rozpiętością założeń,

wnikliwością analizy i inteligentnym opracowaniem szczegółu, co jest charakterystyczne dla współczesnej kinematografii angielskiej.

Lato 1943 r. w Walli. Do popularnego zajazdu, miejsca uszłego przez tradycyjny week-end, zmierzają rozmaici ludzie: chory muzyk, z wyrokiem śmierci zawieszonym na trzy miesiące, pokłócone małżeństwo i ich kilkunastoletnia córka, pragnąca rodziców pogodzić, wilk morski, wycofany z obiegu, zważony z żoną z powodu syna poległego na wojnie, oficer-defraudant, nieuczciwy gieldziarz, para narzeczonych, w której mężczyzna, Irlandczyk, jest zwolennikiem Niemiec. Wszyscy ci ludzie nie mają dobrego zycia. Lekcja życia udiela im gospodarz zajazdu, wyposazony w ponadludzka wiedzę o tajnikach psychologii i w jakieś przedziwny sposób! Wiedza swą czerpie stąd, że on i jego córka nie są już ludźmi żyjącymi, ale jakby powołanymi przez siłę nadprzyrodzoną do odegrania na tym świecie jedynego teatru. Dokładnie rok temu bowiem zostali zbombardowani w zajeździe i zginęli, a fakt ten uszł wiadomości przybywających tu osób.

Nie dziwno, że czas tu został zatrzymany na krytycznej nocy nalu, a wszyscy goście pensjonatu zostają cofnięci do tej daty. Jest to wellowski „wehikuł czasu”, w którym włóczono tylny bieg. Wrażenie jest niesamowite, kiedy zgromadzeni tu ludzie zaczynają pojmować sens sprawy na towarzyszących jej akcesoriach: radio podaje zeszloneczone komunikaty; gazety pochodzą sprzed roku; gospodarze zjawiają się i znikają nie krepując prawami materii, nie mają... eie nia. Przeznaczaniem wszystkich tutaj jest przeżyć owo strasne bombardowanie. Choć uspokojeni, że sami nie zginą, gdyż są tu na prawach... gości, strach, „metafizyczny” strach wydobywa z nich najlepsze instynkty, budzi ich, wzrokowi daje ostrość widzenia właściwych zadań życiowych. Śmiertelnicy, pouczeni, opuszczają płonący hotel, zostawiając tam tylko gospodarzy, których los się już dawniej dokonał.

Tak się kończy ta niesamowita historia, której pierwszą zapowiedzią dla spotrzegawczego widza była tona blasku od bomby fosforycynej na twarzach pierwszych gości, oficera i gieldziarza, kiedy ze wzgórza przez lornetkę szukali nieistniejącego już zajazdu. Rzecz można, że życzenia osób szukających tu schronienia u w trudnej godzinie życia wywołały tę marę przeszłości: zajazd i jego stałych lokatorów.

Ponieważ więcej niż połowa konfliktów dotyczy wypaczenia uflu, oficer-defraudant, gieldziarz, marynarz, który stęchły — film ma założenia pedagogiczne i jest propagandą; ponieważ forma lekcji odznacza się dużą subtelnością artystyczną — film jest dziełem sztuki. Niecodzienny to mariaż i dlatego zasługuje na uwagę.

Marian Promiński

CHRYSZTUS NARODÓW

Zdobyłem się na czyn heroiczny: przeczytałem „Balladę o Warszawie”, apokaliptyczno-katastroficzo-wieszczomiejennistyczny poemat, który na dwu kolumnach druku ogłosił „Tygodnik Warszawski” (nr 42). I oto, czego się dowiedziałem:

Gdy Warszawa „z wojny, wojny ludów, zrzuceniem boskiego cudu” wstała wolna, chciała mieć „państwo jak inni”. Ale była to myśl grzeszna, bo Warszawa wstała nie na byle co, lecz „na czyn postanniczy”, aby być „Nowym Jeruzalem” i „stolicą stolic”. Trzeba ją więc było pokarać za sprzeniewierzenie się idei i „gniew Boży” przez miesiąc szalał nad tym „gorejącym żrakiem”. Ale „właśnie o tej godzinie, gdy Bóg potępił miasto — Słowem Pańskim po polsku zaczęła mówić Warszawa”. Mało tego: gdy dopełnił się los złowrogi „wciąż głoś olbrzymi wolał” i „na rydwanie sławy w rumorze anielskich trąb Warszawa w apoteozie nareszcie poznała siebie”.

I oto „Żywy Bóg się w ciemnościach narodził” a Warszawie „otwarło się niebo w aniołów wstępujących modlitwie i Jakubowa drabina wszystkich utrudzonych narodów”. I zaczęło przeto miasto „swój drugi bóg, walkę Jakuba z aniołem”, bóg, w którym „każda spalona dzielnica to nowa męcząca stacja”, bo to były „dekoracje teatru Boga tragicznych dziejów”.

I następuje zwycięstwo: Warszawa nie chciała „wianka z gwiazd na głowę”, lecz Bóg ją „przymusił ogniem stać się stolicą stolic”, „na piramidzie klęski, na przeraźliwej górze posadził ją na tronie w tej miłosnej purpurze”. „Dziwi się anioły i zloszcza się szatan”, i woła autor: „Polsko w koronie ognia, nasza warszawska święta — aniś wiedziała, kiedy aniołem cię opętał”.

Ten utwór byłego redaktora „Zetu” i w tajemniczonego wroniskisty — zabłąkany w wiek XX jak mistrz w pelerynie z długimi włosami opatruje „Tygodnik Warszawski” wzmianką: „recytowany w sierpniu podczas powstania”. I to dopiero jest okropne.

jaszcz

K O R E S P O N D E N C J A

W SPRAWIE PILNEJ

Do redaktora „Odrodzenia”

Jestem zagrąbnym czytelnikiem „Odrodzenia” od czasu jego przeniesienia do Krakowa. Chciałbym wyrazić sympatię dla „Odrodzenia” za pracę na odcinku kulturalnym, a szczególnie za troskę o ratowanie skromnych pozostałości bibliotecznych, archiwalnych i muzealnych w Polsce.

Będąc już dziesięć lat poza Polską, śledzę objawy życia kulturalnego w Kraju. Ze smutkiem i prawdziwą boleścią mogę nieraz stwierdzić, że nasze instytucje naukowe niezbyt energicznie w okresie przedwojennym dbały o wydawnictwa i publikacje dokumentów archiwalnych tekstowych, oraz ilustracyjnych. Po tragicznej wojnie, kiedy nam tak mało pozostało z niepublikowanych archiwaliów, krąży bardzo przykre wiadomości wśród kół naukowych obcych i polskich, że nie zajęto się poważnie archiwami, że pozostałe resztki są zalewane deszczem, bo nie zrobiono dotychczas prymitywnych choćby napraw dachów, i że są rozkradane. Ostatnio np. „Dziennik Zachodni” w Katowicach pisał, że piastowskie archiwa słaskie są wysyłane „wagonami” do papierni na przebieżkę, podobnie jak to robiła ręka zbrodniarzy niemieckich. Czyżby to była prawda?

„Odrodzenie” niech bije na alarm. Może ktoś z urzędowych czynników zrozumie pilną potrzebę ratowania polskich archiwaliów i składowi bibliotecznych, co przecież i dla państwa ma pierwszorzędne znaczenie. Demokratyczne państwo dba zarówno o dobra kulturalne, jak i materialne.

W Rosji Sowieckiej, Francji, Anglii, Belgii, a nawet Czechosłowacji, archiwa są przedrukowywane w seriach sięgających setek, a nawet tysięcy tomów. Rządy sanacyjne nie widziały ważności za-

gadnienia należytej konserwacji i potrzeby przeznaczania w budżecie specjalnej sumy na publikacje dokumentów archiwalnych, jako narodowych źródeł historycznych. Nie sporządzono nawet kompletnych inwentarzy archiwów (np. Centralnego Archiwum w Warszawie).

Dziś odradza się życie kulturalne i materialne na podstawach demokratyzacji nauki. Wydawanie miesięcznika, i to objętościowo dużego, publikującego wierne teksty dokumentów archiwalnych, jest potrzebą pilną i ważną. Zwiększona należałoby opublikować archiwum Ossolineum. Należy również na pierwszym planie postawić publikację archiwów odzyskanych na Śląsku, a ukrywanych przez Niemców. Można spodziewać się, że część największych bibliotek uniwersyteckich i zagranicznych zaprenumeruje taki miesięcznik. Na terenie Ameryki gotów byłbym sam znaleźć kilkuset prenumeratorów. Miesięcznik-archiwum będzie poważną pozycją propagandową w dziedzinie nauki i kultury odradzającej się po katastrofalnej wojnie Polski Demokratycznej.

Benedykt Boym (New-York)

PRZEDMIOT STYLIZACJI

Do redaktora „Odrodzenia”

W związku z notatką pt. „O poezji prozoków”, zamieszczoną w numerze 41 (98) „Odrodzenia”, w której zostały bezimiennie przytoczone z „Zycia Literackiego” (nr 17) fragmenty mojego poematu — pragnąłbym zaznaczyć, że zarówno zaczytowane urwyki, jak i całość, z których zostały one wyjęte, opierały się — i to nie tylko w samym kolorystyce stylizacyjnym, ale również w brzmieniu pojedynczych inwokacji rytualnych — na średnio-wiecowej chrześcijańskiej literaturze demonologicznej i na autentycznych formułach egzorcystów, a nie na swobodnej inwencji autora. Formuły te włączy-

no do poematu (zgodnie ze świadomą intencją artystyczną), jak najwierniej zachowując ścisłość ich tekstów — co łatwo sprawdzić choćby w kapitalnym dziele Płańska o kulturze wieków średnich.

Ten komentarz historyczno-literacki, ważny chyba z punktu widzenia oceny i charakterystyki przedsięwzięcia, specjalnego rodzaju, winien być czytelnikom „Odrodzenia” — zwłaszcza tym, którzy literaturę średnio-wiecową dokładnie nie znają. Autora wspomnianej notki, zapewne krytyka literackiego, nie posiadają ani o znajomości źródeł do dziejów kultury wieków średnich ani o zdawanie sobie sprawy z ich roli jako materiału, stanowiącego w danym wypadku przedmiot stylizacji. Natomiast posadam go o chęć zdyskwalifikowania utworu, który nie miał szczęścia przypaść mu do smaku.

Roman Koloniecki (Warszawa)

WAŻNE „NIE”

Do redaktora „Odrodzenia”

W artykule „Kolos proletariatu i pancierz chłopca” („Odrodzenie”, nr 41) w ustępie „Taborycy się oddział główny rewolucji” wydrukowano: „Budując uniwersytet, grupa gacka nikomu niczego nie odbierała. Ale w programie swoim miała reformę rolną i, gdyby bieg dziejów jej oddał w ręce realizację rewolucji rolnej, obszłyby się bez siły i ludzie jej nie zalecaliby dzisiaj na zjeździe swoim kolegom, członkom „wystrelizowanych” partyj, odrzucenia broni i wyjęcia naprzeciw terrorystom z gestem miłości bliźniego” zamiast „.....Ale w programie swoim miała reformę rolną i, gdyby bieg dziejów jej oddał w ręce realizację rewolucji rolnej, nie obszaby się bez siły i ludzie jej nie zalecaliby dzisiaj...” itd.

Franciszek Gil (Kraków)

EPIGRAMATY SENTYMENTALNE

DO L. H. M.

Oklaski na nie
i sława na nie
i zdobny sarkofag, co zjada trupy.

Antygonisto,
Nina — to wszystko
a liście laurowe — do zupły

DO S. O.

Drogi Stefanie — i co Ci z tego,
że będzie ulica Otwinowskiego,
w Kaliszu może nawet i plac?

My nie będziemy tamtędy chodzić.
Przechadzać się będą żywi, młodzi
po placu requiescentis in pace.

DO A. M. S.

Martwa natura: zeschnięte kwiaty
w wazonie, od pajęczyny kudłaty,
i tuzin pustych butelek,
Do popielniczki (północ mija...)
popiół strącam (memento, quia...)
na starokawalerski popielec.

Artur M. Swinarski

POPYT

Księgarze czestochowscy donoszą, że w czasie ostatniego odpustu jasnogórskiego pielgrzymi wykupili dużą ilość „Nieba” Jeansa.

rek